reportaż
Z SOCHACZEWA

RYSZARD LISKOWACKI
opowiadanie

ODGŁOSY

ROK XIX, NR 38 (980) 16 WRZEŚNIA 1976 r. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

MISTRZ GOSPODARNOSCI

RYSZARD BINKOWSKI

MILION NA DROBNE WYDATKI

Jedna woda jest mała, brudna i śmierdzi. Nad tą drugą wodą, pobłękitniałą od jasnego nieba, czyściutko, pierścień żółtej plaży, kolorowa przystań.

Koniec sierpnia, w Głownie pusto i upalnie, asfalt lepi się do stóp, z szeroko otwartych okien pachnie obiadem.

Wokół miasta dziesięć tysięcy sześćset cztery hektary pól gminnych, w tym osiem tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt jeden ha użytków rolnych. W trzydziestu sołectwach żyje sześć tysięcy czterysta osiemdziesiąt pięć osób. Nie wszyscy pracują w 1424 gospodarstwach...

W mieście cicho i pusto, a na polach kłębi się wzniecany podczas podorywek kurz.

Na szafce u sekretarza wieniec z tłustych kłosów pszenicy, jędrnych gron owsa i przyschniętych rumianów. W Popowie były pierwsze wiejskie dożynki, gminne odbędą się 5 września.

Dziadek był rolnikiem, ojciec chłopo-robotnikiem, a sekretarz urzędnikiem, lecz nic z rodowodu nie stracił, bo od kilkudziesięciu lat siedzi w sprawach wsi. Kiedy sekretarze byli bez etatu i jako społecznicy odrywali się na chwilę od biurka, na przykład kierowniczka szkoły, to nie mieli siły i czasu, żeby coś ludziom załatwić.

W ubiegłym konkursowym roku obsada bydła na 100 ha wynosiła 74 sztuki, a trzody chlewnej 119 sztuk. Skupiono 1210 ton żywca, 7055 tysięcy litrów mleka i 744 tony zboża. W latach 1971—1975 uprawę pszenicy zwiększono o 341 ha, jęczmienia o 448, buraka cukrowego o 99 ha.

— A co do tego miliona — mówi sekretarz — to nie było żadnych nakazów, instrukcji itp. Konkurs nie był celem samym w sobie. Raczej sprawa honoru. Żeby było dobrze i żeby się nie wstydzić. Sukces osiągnęli rzetelną, całoroczną pracą rolnicy, to nie zasługa reklamy ani urzędów...

Głowno w konkursie „Gmina — mistrz gospodarności" zdobyło pierwsze miejsce w województwie miejskim łódzkim i wygrało milion.

Sekretarz KG PZPR, Stanisław

Dalszy ciąg na str. 6

WARSZAWA

WSPOMNIENIA WIECHA

Stefan Wiechecki — Wiech ukończył 80 lat. Ponieważ początek pracy dziennikarskiej Jubilata przypada na rok 1925 — minęło także półwiecze działalności pisarskiej znanego felietonisty. W związku z tym publikujemy fragment Jego wspomnień z tomu „Piąte przez dziesiąte", wydanego przez PIW w 1970 roku.

KARIERA SZEMRANEJ MOWY

Reportaże i większe kawałki, tak zwane trzyszpaltówki, podpisywałem w „Kurierze Czerwonym" pełnym imieniem i nazwiskiem, krótkie felietoniki skrótem: Wiech. Żona twierdziła, że robię to przez wrodzone lenistwo, że mi się nie chce, jak się należy podpisywać. Bo ja wiem? Może.

Faktem jest, że „Wiech" zwyciężył i stał się moim kryptonimem, a z czasem zrobił wielką karierę naukową. Znakomity językoznawca, profesor Witold Doroszewski w którejś ze swoich prac „wiechem" pisanych przez małą literę, nazwał wszelkie gwarowe warszawskie odstępstwa od poprawności językowej. W ogóle pojawiły się wkrótce uczone dysertacje na temat gwary wprowadzonej przeze mnie na łamy gazet, a potem do książek — zbiorków felietonów. Oprócz profesora Doroszewskiego inni uczeni zajęli się gwarą warszawską, powstały na ten temat liczne prace, wychodzą specjalne słowniki. Wiele wiedzy, trudu i talentu poświęcił skromnej szemranej mowie warszawskiej profesor Bronisław Wieczorkiewicz.

Próbuję niekiedy czytać te prace i z podziwu wyjść nie mogę, że o tym wszystkim nie wiedziałem. A zaczęło się skromnie od dialogów między panem Konstantym Pijawką a panią Mordzielakową, na podwórzu koło trzepaka na ulicy Konopackiej.

A może to pan Piecyk z Targówka zaczął wprowadzać w modę warszawską gwarę, pierwszy był to bowiem bohater, z którym krótkie fingowane wywiady zacząłem zamieszczać w „czerwoniaku", a właściwie „czerwoniakach", bo zachęceni powodzeniem wydawcy „Kuriera" stworzyli wkrótce kilka jego odmian. Rano wychodził „Express Poranny" za dwadzieścia groszy i jego tańsza o połowę odmiana pod tytułem „Dzień Dobry". W południe ukazywał się, jak się to rzekło, „Kurier Czerwony", a zaraz po nim, chyba około godziny drugiej, „Dobry Wieczór", też tańszy — za dziesiątkę. Tak, że brakowało tylko pism pod tytułem: „Dobranoc" i „Moje Uszanowanie", żeby wszystkie formy powitania i pożeganania były nimi objęte. Jednak na razie ta mnogość gazet, wypuszczanych przez jedno wydawnictwo, znajdowała na rynku nabywców, może przez łatwą, sensacyjną swoją formę.

Pisywałem do wszystkich tych pism. W „Dzień Dobry" prowadziłem nawet przez czas jakiś porady miłosno-matrymonialno-salonowe. Coś w rodzaju „Przekrojowego" „Savoir vivre'u" czy „Kulis serc" drukowanych w „Kulisach".

Nie lubiłem tej roboty, stosy listów, na które trzeba było odpowiadać, przerażały mnie. I choć nazywało się to „Dobre rady Józefa Gawędy", dziś wiem, że rady te nie były chyba za dobre, bo Józef Gawęda był cholernie znudzony sercowymi kłopotami swoich korespondentów i sypał wskazówkami bez większego namysłu. Pocieszam się jedynie tym, że były one w większości niezrozumiałe dla adresatów, a zatem trudne do wprowadzenia w czyn.

Mimo to Józef Gawęda zdobył dużą popularność, zwłaszcza wśród prowincjonalnych czytelniczek.

Doszło do tego, że kiedyś zjawiła

Dalszy ciąg na str. 5

REPORTAŻ

MAREK MILLER

WYSPA HUMANISTÓW

Takich miast jest w Polsce wiele. Ich rytm życia wyznacza fabryczna syrena, ich perspektywy i nadzieje wiążą się z wielkim zakładem przemysłowym. To on, jak królowa w ulu jest oczkiem w głowie miasta, koncentruje wokół siebie gros zabiegów i potrafi dyktować swoje prawa.

Starachowice liczą obecnie 46 tys. mieszkańców, z czego 70 proc. znajduje zatrudnienie w Fabryce Samochodów Ciężarowych — FSC. Ten gigant, mający cztery filie w Iłży, Końskich, Skarżysku i w Michałowie, z którego taśm schodzi rocznie 27 tys. nowych samochodów, zamyka wartość swojej produkcji sumą 11 mld złotych. FSC nie tylko daje zatrudnienie mieszkańcom miasta, jest także bogatym mecenasem szeroko partycypującym w jego rozwoju. Zakład posiada własne placówki zdrowia, opieki nad dzieckiem, duży dom kultury, obiekty sportowe, młode kadry kształci w Technikum Mechanicznym i Zasadniczej Szkole Zawodowej. A dynamicznie rozwijające się budownictwo mieszkaniowe dopiero w tym roku zostało przejęte przez miasto. Znaczący jest fakt, że jeżeli pracownicy FSC nie mają wolnej soboty, to nie ma jej również całe miasto — musi funkcjonować komunikacja, handel, usługi.

Podczas mojego pobytu w Starachowicach zainteresował mnie jeden problem, ale nie uprzedzajmy faktów.

„Pedagog, obok socjologa i psychologa, ma określoną rolę do odegrania w kształtowaniu postaw pracowników tzn. powinien być organizatorem i kierownikiem świadomego i uporządkowanego kształtowania procesów wychowawczych w zakładach pracy".

Jest to fragment artykułu zatytułowanego „Pedagog w zakładzie pracy", na który natrafiłem w tygodniku **„Budujemy samochody"**, organie Samorządu

Dalszy ciąg na str. 6

PLASTYKA

GRUPA SIERADZKA

Kiedy kilku twórców łączy się i przyjmuje wspólny program — powstaje grupa artystyczna. Nie jest to, personalnie, zjawisko trwałe — czas dopiero wykazuje, czy elementy, które ich wiązały ze sobą, były nowe i spójne, jakie kształtowały postawy, jak oddziaływały w kulturze i sztuce swego okresu.

Narodziny grupy plastycznej w Sieradzu powitać należy z radością — są już faktem, który zaistniał w klimacie sprzyjającym rozwojowi społecznemu i kulturalnemu nowego województwa. Wyższe aspiracje środowiska — wyższa ranga miasta wojewódzkiego umożliwiają podejmowanie inicjatyw, wyzwalają energię twórczą, sankcjonują powstanie instytucji kulturalnych.

Już w pierwszych miesiącach funkcjonowania województwa pomyślano o zorganizowaniu **Biura Wystaw Artystycznych** w Sieradzu, instytucji zajmującej się upowszechnianiem plastyki i wiedzy o sztuce. Rzeczą ze wszech miar pożyteczną było otwarcie także Galerii Sztuki, w której stworzono odpowiednie warunki dla propagowania dzieł nie tylko profesjonalistów, lecz również twórców ludowych licznie zamieszkujących województwo sieradzkie.

Nadzieję budzą podjęte przez wojewódzki resort kultury plany organizowania dorocznych plenerów sieradzkich, które będą formą inspiracji i pomocy dla twórców spod znaku palety. Można oczekiwać, że plenery sieradzkie pozwolą plastykom z całego kraju zapoznać się z ludźmi, zabytkami, architekturą, zakładami przemysłowymi i krajobrazami województwa i w efekcie pozostawią trwały ślad w postaci dzieł artystycznych wzbogacających kulturę narodu. Równocześnie będą te plenery czynnikiem przyczyniającym się do rozwoju i podniesienia rangi środowiska plastycznego Sieradza.

Sieradzkie środowisko artystyczne nie jest jeszcze zbyt duże. Mieszka i pracuje w Sieradzu i województwie sześciu artystów z dyplomami wyższych uczelni plastycznych — **Janina Sakowicz, Alicja Szkudlarek, Maksym Dzierzgowski, Kasjan Farbisz, Franciszek Kubiak i Bolesław Stępień.** To oni postanowili nazwać się Grupą Sieradzką. Określają się realistami. Pragną aktywnie uczestniczyć w procesie przeobrażeń społecznych i kulturalnych regionu. Swoją pracą i zaangażowaniem przyczyniać się będą do realizacji polityki kulturalnej państwa. Pełna świadomość iż plastyka jest dziedziną sztuki spełniającą ważną funkcję w wychowaniu estetycznym człowieka, w kształtowaniu jego wrażliwości na piękno świata, rzutować będzie na ich szeroką działalność społeczną. Tym niewątpliwie ambitnym poczynaniom sprzyja uwaga władz województwa sieradzkiego zwrócona w kierunku zapewnienia sieradzkim plastykom odpowiednich warunków pracy twórczej.

Grupa Sieradzka jest grupą otwartą dla wszystkich osiedlających się w województwie artystów plastyków, którzy zechcą tutaj rozwijać swój talent.

Pierwsza zbiorowa wystawa Grupy Sieradzkiej potwierdza krystalizowanie się osobowości artystycznych jej sześciu członków. Tworzą oni grupę — i każdy idzie swoją drogą, o czym zaświadcza ich indywidualna praktyka malarska, rodzaj przeżyć, interpretacja rzeczywistości, kompozycja obrazu. Jeśli widoczny staje się w ich pracach koloryt sieradzki — to walor środowiska, miasta i ziemi, z której czerpią natchnienie barwę i światło.

FELIKS RAJCZAK

ROK BIBLIOTEK

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

BIBLIOTERAPIA

W bardzo pięknym i świetnie rozplanowanym, wielkim łódzkim szpitalu dwa razy na tydzień przejeżdża korytarzami mały wózek, popychany przez panienkę w białym fartuchu. Na wózku leży około trzydziestu książek i to jest źródło lektur dla tych pacjentów, którzy wolą czytać niż godzinami wsłuchiwać się we własne dolegliwości lub dzielić się nimi z pozostałymi mieszkańcami sali i piętra. Na wózku dominują kryminały, Kraszewski, Sienkiewicz, Cronin, parę tomików z serii „Nike" i Arkady Fiedler. Oczywiście, to nie jest biblioteka szpitalna. Biblioteka mieści się na parterze w tej części korytarza, do której pacjentom wchodzić nie wolno, nawet gdy są to pacjenci chodzący o własnych siłach; jest zasobna, zorganizowana według wszelkich prawideł sztuki, nudzi się w niej kilka godzin dziennie mądra, urocza starsza pani. Wiedziała przecież, że — ubrany w za krótką piżamkę — przemyciłem się do niej nielegalnie. Ułatwiła mi jednak myszkowanie po półkach, „degustację" dziesiątków nieczynnych tomów, wydawała się nawet wdzięczna za długą rozmowę pełną tytułów i nazwisk — a przecież o książkach w klanie ich wielbicieli można nieskończenie. Dopiero w drodze powrotnej zbeształa mnie pani ginekolog w ciemnych okularach — chyba nie jestem ślepy i widzę napis: pacjentom wstęp wzbroniony?

Na wózek i do chorych trafia ta część bibliotecznych „stanów", którą od dawna uznano za kanon czytelniczy szpitalnej publiczności. Chorzy tylko o to pytają. Chorzy nie chcą książek uchodzących za trudne. Chorzy w ogóle nie bardzo chcą czytać.

Mam za sobą spory staż po różnych szpitalach i sanatoriach, uprawniający chyba do niejakich uogólnień. To fakt, że pacjenci czytający książki stanowią zdecydowaną mniejszość, są zresztą źle widziani przez towarzyszy niedoli, nie lubi się takich. Pan to tylko wlepi gały w te książki i czyta i czyta. Daj se pan spokój, jak pana to nie znudzi. Powinno się rozmawiać o rodzinie, o chorobach, o dziwkach i o Niemcach. Powinno się leżeć i spać, jeśli akurat nic nie boli. Albo leżeć i postękiwać, kiedy boli. To nietypowe, niekoleżeńskie i niespołeczne odgradzać się od sali, od sąsiadów, basenów, lignin i spluwaczek, od białych szafek z nie dopitą herbatą, od rozdeptanych kapci i pokrytych gęsto stemplami ręczników. Jak panu się nie znudzi?

Ta nieprzyzwoicie a zrozumiale — w odczuciu całej reszty — izolująca się mniejszość czytałaby jednak znacznie więcej, bo ma czas, z którym nic mądrzejszego zrobić nie można; bo nawet pójście do telewizora jest na jakiś czas niemożliwe, a myśli zostały jako tako zdrowe, wyobraźnia i pamięć działają, trzeba je czymś zatrudnić. Czytalibyśmy więcej, tylko że łóżka stoją oczywiście głowami do ściany i światło dzienne dochodzi tam z trudem. Zmrok zapada szybko, lampa — jedna czy nawet dwie — wisi nad środkiem sali i świeci chorym w oczy, lepiej więc, że jest słabiutka. Są gniazdka w ścianach, przeznaczone chyba do indywidualnych lampek dla chorych, właśnie umożliwiających czytanie. Są gniazdka, bo szpital jest nowoczesny. Nie ma lampek, bo szpital musi oszczędzać. Na tym kończymy akapit o świetle, aktualny we wszystkich domach przejściowego — ale nie zawsze chwilowego — pobytu.

Czytalibyśmy więcej, gdybyśmy mogli sobie dobrać lekturę według upodobania. Z dziesięciu kryminałów i pięciu Kraszewskich nie reflektujemy na nic. Żukrowskiego już znamy. Siostrzyczko, proszę mi przynieść jeszcze jakieś pisma z dołu. Filipinka? Dobrze, Filipinka.

Czytalibyśmy więcej, gdyby kram z książkami był łatwo i zawsze dostępny. Wózek jeździ raz na parę dni i trzeba akurat na niego trafić, bo przemknie i zniknie. Pani do punktu bibliotecznego w pewnym wielkim i bardzo skutecznym sanatorium przychodzi raz na dwa tygodnie, daje każdemu dowolną ilość książek, bo po co się trudzić częstszym wymienianiem, zamyka interes i ślad po niej ginie. W innym sanatorium bibliotekarka przebywa na macierzyńskim urlopie i miesiącami nikt jej nie zastępuje, w jeszcze innym książki po prostu porozdawano dawno chorym i niech sobie kombinują pomiędzy sobą jak chcą.

Tu się choruje, proszę państwa. Tu się mierzy temperaturę (koniecznie o piątej rano, choć nikt nie wie dlaczego), zapisuje tabletki (pacjent nie może wiedzieć jakie, bo jeszcze by się upomniał w razie jakiegoś niedoniesienia), wbija szpryce (czego pan sięka, taki fajny chłop, a taki delikatny) i wygładza kołdry przed wizytą ordynatora. Potem masa przerobowa — przepraszam: pacjenci — znikają z pola widzenia, a ich wolno płynący czas nie należy do „globalnej problematyki hospitalizacji".

A tymczasem w listopadzie 1974 roku odbyło się w Waszyngtonie sympozjum — zresztą nie pierwsze — poświęcone książce jako pomocy w leczeniu. Mówie o tym teraz, bo dopiero teraz dotarły do nas referaty z tego sympozjum.* Okazuje się, że przy wielkiej organizacji IFLA (International Federation of Libraries Asociations) istnieje od szeregu lat sekcja „Libraries in Hospitals". Że wschodniemiecki Deutscher Bibliotheksverband ma również samodzielną sekcję „Krankenhausbibliotheken", która wydaje własny periodyczny biuletyn. Że w Kanadzie i w Stanach zarysowuje się nowa specjalizacja w aparacie pomocniczego personelu szpitalnego: biblioterapia. Umiejętność przynoszenia choremu ulgi przy pomocy odpowiednio dobranej lektury. Już funkcjonują w wielkich klinikach psychiatrycznych młodzi ludzie z dziwnie brzmiącym dyplomem: „Certified poetry therapist" (patentowy książkoterapeuta...). Wymaga się od takiego, żeby się wykazał „dojrzałą osobowością, szerokim oczytaniem, gruntowną znajomością dawnej i najnowszej literatury, specjalnym wyczuleniem na ludzką problematykę, wnikliwością psychologiczną. Niezaradność i niewrażliwość są w tym zawodzie nie tylko zawadą, są wręcz nieetyczne".

Już w 1940 roku ukazała się wielka bibliografia Lenrowa i Heatona podzielona według... sytuacji życiowej czytelnika, według jego emocjonalnych potrzeb. Kanadyjczyk Jack Leedy twierdzi w swej książce „Poetry Therapy" (wydanej w 1969 roku), że „biblioterapia jako proces przyswajania wartości psychologicznych, socjologicznych i estetycznych przy pomocy lektury zajęła dziś miejsce równorzędne obok takich metod, jak terapia zajęciowa i muzyczna. W wielu zakładach neurologicznych biblioteka odgrywa znacząca rolę w programie rehabilitacji chorych".

Prawda, że chodzi tu głównie o chorych nerwowo i psychicznie. Istnieje cała specjalistyczna wiedza o organizowaniu seansów wspólnego czytania książek z takimi chorymi, urządzanie dyskusji i konkursów, mających na celu osiągnięcie samowiedzy, zrozumienia siebie samego, nawiązania lub przywrócenia zakłóconych kontaktów ze światem. „Biblioterapię należy traktować jako proces dynamicznego współdziałania osobowości czytelnika z dziełem literackim, jako psychologiczny środek do osiągnięcia dojrzałości i przystosowania psychicznego". Przy pomocy odpowiednich testów bada się na przykład stosunek pacjentów do różnych zjawisk i problemów przed cyklem seansów biblioterapeutycznych i po ich zakończeniu. Niektórzy z autorów wysoko oceniają wyniki uzyskane tą drogą, chociaż są i tacy, którzy po serii doświadczeń z grupą studentów stwierdzili brak zauważalnych różnic w ustosunkowaniu się do ludzi i spraw.

Nie wchodząc nazbyt głęboko w sprawy posługiwania się książką w leczeniu chorych psychicznie, ani też nie przeceniając przydatności tych metod, musimy jednak uznać, że zapewnienie chorym i ozdrowieńcom najszlachetniejszej formy spędzania czasu — odpowiednich książek — powinno doczekać się lepszego traktowania w praktyce naszych szpitali i sanatoriów. Nie ma potrzeby zaczynać z bardzo górnego tonu, powoływać organa, ciała i szczeble. Niech by jednak ktoś zainteresował się tym, jak dawkować, czy i jak profilować i ograniczać lektury ludzi chorych, nie chcących poddać się biernemu, a boleściwemu trwaniu. Niech by ktoś zadbał o dostateczną ilościowo, odpowiednią jakościowo i sprawną organizacyjnie bazę wyborczą lektur dla tysięcy osób, przebywających w remoncie. Może by się w jakimś tam procencie skrócił okres remontowy, przynajmniej w odniesieniu do niektórych grup pacjentów? Może ten czas stałby się czasem mniej zmarnowanym, może zostawiłby jakiś pozytywny, optymistyczny osad w pamięci i wyobraźni — także na tygodnie i miesiące, kiedy się już znowu wróci pomiędzy twarde tryby codziennej rzeczywistości, nie zawsze zostawiającej czas na spokojne, niespieszne, smakowite pogrążenie się w dobrej powieści?

*) Bibliotherapie und Krankenhausbibliothek. 5. Referate der IFLA—Konferenz (Subsection Krankenhausbibliotheken. Zusammengestellt von Hannelore Schmidt. Berlin, 1975.

FORUM MŁODYCH TWÓRCÓW

ŻEGNAJCIE NIEOMYLNI

W sierpniu w Trzciance koło Piły odbyło się V, jubileuszowe, Ogólnopolskie Sympozjum Środowisk Twórczych, najbardziej znaczące i najowocniejsze wakacyjne spotkanie młodych twórców i animatorów kultury. Spotkali się tu w nastrojach bynajmniej nie podniosłych, aby, jak w latach ubiegłych, skonfrontować swoje poglądy i opinie na temat sztuki, już to między sobą, już z wdzięcznymi odbiorcami. Zasada nadrzędna i pierwsze sympozjum pozostała taka sama, jak w latach ubiegłych — aktywne współuczestnictwo w konstruowaniu i realizacji planu spotkania, a więc akcje, wydarzenia, pokazy, spotkania, przeglądy i koncerty. Artyści — poeci, plastycy, muzycy, aktorzy i dziennikarze przywożą tu swoje prace — wiotkie tomiki, sugestywne monodramy, prezentacje malarstwa, rzeźby i grafiki, partytury utworów muzycznych, aby zaprezentować je kolegom i mieszkańcom okolic. A więc formuła interesująca, w skali polskiej unikalna. Dodatkowym jej atutem jest fakt, że organizowana w niewielkich, dość zaniedbanych kulturowo ośrodkach miejskich (Augustów, Milicz, Trzcianka), jest dla ludności miejscowej okazją zetknięcia się z autentycznymi wydarzeniami artystycznymi. Im także należy się odpoczynek od smętnej codziennej strawy, serwowanej obficie przez nasz rodzimy „przemysł rozrywkowy".

A oto Trzcianka 76 — na początek kilka cyfr, które pozwolą P. T. Czytelnikom zorientować się w rozmiarach i zasięgu imprezy: w tegorocznym spotkaniu wzięło udział około 130 twórców z całego kraju, którzy uczestniczyli w kilkudziesięciu imprezach wewnętrznych i około osiemdziesięciu spotkaniach wyjazdowych z ludnością tego regionu, w klubach rolnika i zakładach pracy województwa pilskiego. Sympozjum jest imprezą pośród młodych artystów ogromnie popularną, toteż przemożną większość zjazdowiczów stanowili weterani. Szereg popularnych sympozjowiczów, kilkuletnia dobra tradycja mogłyby być zdecydowanym argumentem na rzecz imprezy potrzebnej i udanej; a jednak tegoroczne spotkanie nie było w pełni szczęśliwe. Jakie wraże siły sprawiły, że zamiast zwykłych ciepłych słów szukać będziemy przyczyn kryzysu tego sympatycznego skadinąd spotkania?

— Przez lojalność stałego uczestnika, najpierw to, co w dziejach tegorocznej imprezy najbardziej pomyślne. Ogólna konstatacja — spotkań udanych było w tym roku znacznie mniej, niż w latach ubiegłych, zaś niektóre z nich, znakomite w koncepcji, skutecznie kładła niesprawna organizacja. Pierwsze miejsce za bogaty, starannie opracowany program imprez oraz znakomite wykonawstwo należy się jak co roku zresztą, ekipie muzyków Warsztatowi Muzycznemu PWSM z Katowic, Kwartetowi Wojciecha Gogolewskiego z Łodzi, krytykom — Piotrowi Czyżowi i Tadeuszowi Szyłłejce z Warszawy. Niezwykle barwny repertuar działania — od koncertu muzyki barokowej, poprzez spotkania jazzowe, przegląd młodej muzyki polskiej, aż do działania interdyscyplinarnego — „Aktów", inwencja prezentacji, pracowitość, preferują tę grupę twórców na miejsca punktowane. Również interesujący i bardzo zróżnicowany tekstowo i interpretacyjnie program zaprezentowali aktorzy: były to w większości monodramaty, jako że trudno o działania zespołowe tam, gdzie artyści reprezentują rozmaite ośrodki teatralne, różne konwencje gry i repertuary. Najbardziej interesujący wydaje się być monodram Czesława Wojtały, niegdyś grającego w zespole Laboratorium Grotowskiego, obecnie aktora warszawskiego Teatru Polskiego — zręcznie spreparowany z fragmentów kronik Galla Anonima. Inscenizacja ta utrzymana była w konwencji zgrzebnej prostoty średniowiecznych widowisk ludycznych, surowych i zarazem gwałtownych; w stylistyce swej przypominała starofrancuską „Pieśń o Rolandzie", poliptyk z gdańskiej katedry, „Siódmą pieczęć" Bergmana. Noc, w szczerym polu, urwisko skalne, płonące pochodnie, a na tym tle wyrazista, ekspresyjna twarz i sylwetka aktora — słowem, była to inscenizacja przejmująca i piękna. Również bardzo interesująca była leśna i nocna inscenizcja gadki góralskiej „Ludzie", notabene w tym samym czasie emitowanej w programie telewizyjnym. Żywiołowa i patetyczna zarazem interpretacja Krzysztofa Pietrykowskiego opowieści górala, powracającego do rodzinnej wsi po wojennej tułaczce w naturalnej, nocnej scenerii zabrzmiała autentycznym dramatyzmem. Podobnie zresztą, jak drugi monodram Pietrykowskiego, zrealizowany wedle tekstów poezji Majakowskiego i ówczesnych materiałów prasowych, konsekwentnie dyskryminujących i samego poetę i jego utwory.

Niepokojąca była tylko wspólna dla wszystkich tych działań konwencja realizacyjna: otóż wszystkie te spektakle, bez względu na tematykę i potrzebę grane były głęboką nocą, pośród obfitych gąszczów i niebezpiecznych wykrotów. Wziąwszy pod uwagę fakt, że „scena" znajdowała się w dalekiej niekiedy odległości od obozu, a więc problem organizacji transportu, że pośród widzów były dzieci i osoby niesprawne fizycznie, którym przedzieranie się przez chaszcze sprawiało wiele kłopotu, a i aktorzy niezbyt dobrze się czuli, grając niemalże po omacku, należało chyba rozsądniej przemyśleć sprawę konwencji inscenizacyjnej. Wydawało się, jak gdyby organizatorzy więcej troski poświęcali poszukiwaniom oryginalnych rozwiązań teatralnych, niż dobremu samopoczuciu aktorów i widzów.

Działalność sympozjalnych plastyków wydawała się być czysto użytkowa — przygotowywali oni plakaty i plansze, pomagali w pracach scenograficznych, z rzadka tylko występowali w tzw. akcjach interdyscyplinarnych. Natomiast działania, które zaprezentowali, wydarzenia Freda Ojdy oraz inne — Janusza Haki i Zdzisława Sosnowskiego, świadczyły raczej o stagnacji polskiej sztuki, niż o jej rozwoju. W przypadku działania interdyscyplinarnego Ojdy, była to repetycja z poprzednich spotkań, tak w nastroju, środkach ekspresji, jak i założeniach teoretycznych jego sztuki.

Natomiast godne opowieści były manifestacje poetyckie przybyszów z Poznania, Gdańska i Warszawy — spotkanie z Andrzejem Mendyką, i jego poezją żarliwą i autentycznie młodą, wiersze Zbigniewa Joachimiaka, a także Andrzeja Grochowiny, wydawały się dobrą reprezentacją polskiej poezji nowoczesnej. Pocci byli na tegorocznym sympozjum grupą prężną i artystycznie dostrzegalną.

Tradycyjnie już ominęli sympozjum młodzi filmowcy, co jest stanem zdumiewającym, zważywszy fakt, iż przy każdej prasowej i prywatnej okazji skarżą się i lamentują na brak okazji zaprezentowania swych prac tzw. szerokiej publiczności.

Po szeregu pozytywów, zwróćmy zachwycone oczy w stronę cienia, na fakty dyskusyjne lub zdecydowanie negatywne, które zaważyć mogły i zaważyły na charakterze, klimacie i ogólnej ocenie spotkania. Przede wszystkim agresywność polemiczna i arbitralność sympozjalnych „starzyków", którzy od początku obwołali się jajogłowymi i choć w ich wystąpieniach „słowa lały się rzeką, a sens kapał kroplami" (Teokryt), tak już miało pozostać. Z wielką szkodą dla młodych adeptów pióra, którzy odurzeni wątpliwymi autorytetami, często tracili zdrowy rozsądek i ulegali tej grze pozornej wiedzy, pozornej powagi, pozornych arbitraży. Tym bardziej, że większość „wieczorów literackich" wymienionych wyżej weteranów, na których autorzy nonszalancko przedstawiali jakieś niechlujne zapiski, lub nieodpowiedzialne refleksje teoretyczne, to były propozycje do pominięcia. Sztampa i na okrągło, nic też dziwnego, że stawali się wówczas dostarczycielami nie zaplanowanej rozrywki. Szczytem dętego pozoranctwa było spotkanie, prowadzone przez W. Borowskiego, który osiągnął zaiste szczyty intelektualnego brzuchomówstwa — jego „kosmologiczne transpiracje dla wzmocnienia fitomasy" wzbudziły tak gwałtowny protest, że rychło spotkanie zakończono. Siłą rzeczy nie były to najlepsze przykłady dla twórców młodych i najmłodszych, którzy wielekroć upominali starszych, rozfiglowanych kolegów — „no, mówmy wreszcie poważnie", „panowie, niech to będzie o czymś ważnym"...

Reasumując — mniej, niż zwykle było dobrych, świeżych pomysłów, prężnych inicjatyw i sprawnej ich realizacji.

— Myślę, że dobrze i słusznie będzie, jeśli sympatyczni organizatorzy tego sympozjum, najlepszej jeszcze artystycznej imprezy wakacyjnej, zobligują do intensywniejszej pracy odnośną komisję, przygotowującą następne spotkanie, do staranniejszego doboru Rady Programowej, uważniejszego spojrzenia na listę uczestników, sprawniejszej organizacji imprez. Aby nie pogrzebać znakomitej tradycji sympozjum i aby w istocie było ono „forum młodych twórców, modelujących nową polską sztukę".

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC.

NAUKA

ZETO

Z dyrektorem Zakładu Elektronicznej Techniki Obliczeniowej w Łodzi — dr inż. ZYGMUNTEM ŁUCZAKIEM — rozmawia Włodzimierz Stokowski.

— Niespełna dziesięć lat temu, podczas naszej pierwszej rozmowy na temat zadań, raczkującego w owym czasie, Zakładu Elektronicznej Techniki Obliczeniowej w Łodzi mówiliśmy, między innymi, o jego funkcji usługowej. Ale wtedy nie padło pytanie, czy kontrahent ZETO musi „przyjść do komputera", żeby skorzystać z jego usług. Było na nie po prostu za wcześnie. Nie wiem, czy dziś, ze względu na niesłychanie szybki rozwój informatyki na świecie, na takie pytanie nie jest z kolei za późno?

— Istotnie, sięga pan do historii w odniesieniu do ZETO, a do prehistorii w informatyce światowej. W ciągu tych dziesięciu lat dokonały się w informatyce ogromne i nader interesujące przemiany, wynikające ze światowej dynamiki rozwoju tej dziedziny. Powiedziałbym nawet, że nastąpił tu najbardziej dynamiczny rozwój w skali świata. Należy o tym mówić już nie w kategorii kroków — lecz milowych skoków.

Dziś na świecie użytkownik nie przychodzi do komputera, lecz korzysta z jego usług na odległość. Istnieją komputerowe systemy wielodostępne, konwersacyjne, oparte o teletransmisję, które pozwalają na korzystanie z komputerów jak korzysta się na przykład ze światła elektrycznego: wystarczy nacisnąć przełącznik, żeby natychmiast zapłonęła żarówka. Dziś, w wielu krajach świata wystarczy się połączyć z odpowiednim numerem przez telefon i już jesteśmy włączeni w abonencką sieć komputera.

— Czy ZETO w Łodzi podejmuje próby uruchomienia takiej teletransmisji?

— Owszem. Takie możliwości stworzyło nam nasze nowe, nowoczesne i piękne Centrum przy ul. Narutowicza 136. Mam nadzieję, iż w najbliższych latach uda nam się zrealizować abonencki system wielodostępny, z którego będzie mogło korzystać wielu użytkowników równocześnie.

— I wielokomputerowy?

— W dalszej przyszłości. System wielokomputerowy ma w swojej sieci kilka współpracujących ze sobą komputerów, które pozwalają na zwiększenie niezawodności. Są one na ogół w różnych konfiguracjach, mogą mieć nawet inne specjalizacje.

— Na przeszkodzie w zbudowaniu takiego systemu stoi z pewnością wysoki koszt komputerów?

— Między innymi, a cena komputera jest rzeczywiście bardzo wysoka. W zależności od wyposażenia w urządzenia zewnętrzne oraz pojemność pamięci operacyjnej cena komputera waha się w granicach od kilkudziesięciu do kilkuset milionów złotych.

— Należy rozumieć, że w takiej sieci mogą już pracować komputery przystosowane do obliczeń numerycznych, naukowych, a także do przetwarzania danych.

— Tak. I tutaj widać najwyraźniej ów skok w rozwoju różnych systemów pracy komputerów, to ogromne zróżnicowanie. Dążymy do tego, żeby w najbliższych latach realizować w łódzkim ZETO takie właśnie systemy komputerowe, sprzężone z dużymi zakładami pracy i wyższymi uczelniami.

— Czy w kraju istnieją już sieci teletransmisyjne lub wielokomputerowe?

— Istnieje system POLRAX, istnieje warszawski system CYBER, wrocławski — WASK. Na określonym szczeblu ich rozwoju powstanie jednolita, ogólnopaństwowa sieć teleinformatyczna.

— Jakie usługi i dla kogo wykonuje ZETO?

— Jest to szeroki wachlarz prac, obejmujący eksploatację systemów informatycznych, ich projektowanie i oprogramowanie, a użytkownikami naszego zakładu są organizacje gospodarcze różnych przemysłów: maszynowego, lekkiego, meblarskiego, uczelnie wyższe i instytucje zaplecza naukowo-badawczego, banki, handel, rolnictwo, instytucje i przedsiębiorstwa gospodarki miejskiej i szereg innych.

Dążąc do polepszania jakości naszych usług, rozszerzania ich zakresu, oraz terminowości, musimy nieustannie wzbogacać naszą bazę techniczną i ulepszać organizację pracy. Jest to konieczność stymulowana szybkim wzrostem zapotrzebowania na usługi elektronicznej techniki obliczeniowej. Nie wolno nam pozostawać w tyle za postępem. Postęp nie znosi przestojów, a inercja w technice, jak zresztą w każdej dziedzinie życia, powoduje niepowetowane straty.

— Od lat wiernym sojusznikiem ZETO: są Uniwersytet Łódzki i Politechnika Łódzka. A nawet, o ile sobie przypominam, pierwszym pomocnikiem i współpracownikiem.

— Tak, to prawda. Od dziesięciu lat, od samego początku istnienia zakładu. Zawsze myślę o tym z prawdziwą wdzięcznością. Pomoc obu tych wyższych łódzkich uczelni była dla nas niezmiernie cenna, zwłaszcza w okresie narodzin ZETO i kiedy stawiał on pierwsze kroki. Pełny jednak rozkwit naszego Centrum zawdzięczamy przede wszystkim łódzkiej instancji partyjnej, która od momentu powstania ZETO troszczy się o nasz Zakład i pomaga w jego nieustannym rozwoju.

Chcemy i sądzę, że niebawem uda nam się ten zamiar zrealizować — w przyszłej sieci, kiedy stworzymy już system wielodostępny, włączyć doń w pierwszej kolejności Politechnikę i Uniwersytet.

— Wydało mi się, że zabrzmiała w tym nuta dość bliskiej perspektywy stworzenia bazy na budowę w ZETO wielodostępnej sieci teletransmisyjnej?

— Ma pan czułe ucho. Tak, mamy takie nadzieje. Podstawą do tego jest R-22, który otrzymaliśmy dosłownie kilka dni temu. Jest to maszyna jednolitego systemu komputerów RIAD, która będzie dominować we wszystkich krajach RWPG. Pomoże nam ona w realizacji naszych zamierzeń i, co za tym idzie — zaspokojeniu ogromnych potrzeb Łodzi. Długo czekaliśmy na tę maszynę i bardzo się z niej cieszymy.

Jeszcze w tym roku, zgodnie z zapewnieniem Zjednoczenia Informatyki, otrzymamy jedną, a może nawet dwie maszyny R-32 polskiej produkcji. Wzbogaceni o taki potencjał techniczny staniemy się już, jak sądzę, uniwersalnym, bezawaryjnym zakładem elektronicznej techniki obliczeniowej. Ponadto nasz park maszynowy zostanie poszerzony o pewne urządzenia peryferyjne.

— Panie dyrektorze, z tego co Pan mówi o bieżącej pracy ZETO i jego zamierzeniach wynika, że zespół pracowników Zakładu jest wielokierunkowo wyspecjalizowany: projektuje systemy informatyczne, programuje, wykonuje bardzo złożone usługi, pracuje dla potrzeb nauki.

— Istotnie. Pracownicy ZETO w Łodzi posiadają wysokie kwalifikacje zawodowe i nieustannie doskonalą swe umiejętności. Jest to zespół wyróżniający się inwencją twórczą, ambicją, pracowitością i ofiarnością w pracy. Jest to naprawdę znakomity zespół, mówię o tym z największym przekonaniem. Dzięki niemu, obok prac, o których pan wspomniał, wykonujemy jeszcze szereg innych, nie mniej skomplikowanych. Ostatnio na przykład grupa tematyczna ZETO opracowała świetne narzędzie w pracy programisty, tzw. Flow-Charter Cobol-u: zamiast dotychczasowego czasochłonnego opracowywania schematów blokowych wystarczy podać odpowiednie parametry i taki schemat blokowy automatycznie i natychmiast wykonuje maszyna na podstawie tekstu programu źródłowego.

Staramy się dotrzymać kroku najnowszym osiągnięciom informatyki, stale doskonaląc nasz warsztat pracy. W związku z tym chodzi mi nawet po głowie myśl, na razie jeszcze bardzo nieśmiała, żeby nawiązać szerszy i, w miarę możności, stały kontakt z określoną grupą rozrzuconych po świecie Polaków, wybitnych specjalistów — informatyków. Może jakieś sympozjum zorganizowane przez łódzki ZETO. Sądzę, iż mogłoby to przynieść naszej informatyce spore korzyści. Ale jest to muzyka przyszłości.

— Informatyka odgrywa wielką rolę w gospodarce socjalistycznej i nie ulega wątpliwości, iż szybki rozwój i doskonalenie tego instrumentu zarządzania gospodarką narodową jest zagadnieniem dużej wagi.

— Z pewnością. W centralnym planowaniu informatyka nabiera coraz większego znaczenia. Z teoretycznego punktu widzenia w tego typu gospodarce nie istnieją różne programy rozwoju gospodarczego. Istnieje jeden, społecznie uzgodniony program działania, cała uwaga koncentruje się na kontroli i metodach wykonania programu. A zatem na wyborze metod realizacyjnych. I na tym obszarze informatyka może zająć jedno z ważniejszych i trwałych miejsc w zbiorze metod realizacyjnych.

— Słyszałem, że łódzki ZETO ma jeden z najwyższych współczynników wieloprogramowości.

— Tak. Mimo bardzo jeszcze skromnego wyposażenia w urządzenia peryferyjne. Będąc już przy tym pragnę dodać, iż spośród wszystkich ZETO w kraju mamy największą akumulację, najwyższą wydajność pracy na jednego pracownika i chyba pretendujemy do najlepszego zakładu sieci ZETO w kraju pod względem wykonania wskaźników ekonomicznych.

— Ostatnie pytanie, natury „kosmetycznej"; nie macie ani frontowego dojścia, ani dojazdu do ZETO, macie natomiast pętlę tramwajową, której bez szkody dla komunikacji miejskiej mogłoby nie być, i prymitywny szalecik usytuowany pośrodku między ZETO a radiostacją. Zabrakło tu tego przysłowiowego ostatniego pociągnięcia pędzlem. A szkoda, bo ten nowoczesny budynek ZETO jest jednym z pięknych akcentów podkreślających uniwersytecki charakter tej dzielnicy Łodzi. Panie Dyrektorze, nie ma to wprawdzie, jak się mówi przy takiej okazji, ogólnoświatowego znaczenia, ale czy tak zostanie już na zawsze?

— Nie. Sprawy te — kiedy zapadła decyzja wybudowania tutaj ZETO — miały załatwić władze miejskie. Co prawda minęło od tego czasu pięć lat.

— To mały jubileusz.

— No, może sześć lat.

— To jeszcze cztery lata do dziesięciu. Też jubileusz.

— Żarty na stronę, w tym roku już na pewno skreślimy obie te sprawy z czarnej listy. Tym bardziej, że przeszkadza nam nadmierne iskrzenie z trakcji elektrycznej.

— Dziękuję za rozmowę.

KULTURA

U PROGU SEZONU

Wystawom plastycznym przypisuje się przynajmniej dwie zasadnicze funkcje: po pierwsze mają one stanowić uświęcone tradycją miejsce publicznych wystąpień twórców, gwoli szerszej prezentacji ich dorobku, po wtóre zaś — wzbogacać kulturalne doświadczenia możliwie licznych rzesz odbiorców o wysokie wartości artystyczne z zakresu plastyki.

Nie inne zadania przypadają placówkom łódzkiego Biura Wystaw Artystycznych, głównego w naszym mieście organizatora ekspozycji plastyki współczesnej. Jak też wypełniają je one i na ile odpowiadają stawianym im wymaganiom? — to pytanie u progu nowego sezonu kulturalnego wydaje się szczególnie istotne.

Wiadomo, iż wystawa bez publiczności jest nieudana, tak w odczuciu autorów prezentowanych na niej prac, jak też i w powszechnej opinii. Tymczasem, jak pokazuje doświadczenie, tzw. tłumy bywają jedynie na wernisażach, a i te mają zwykle bardziej charakter spotkań towarzyskich niż spotkań ze sztuką. Później nasze salony wystawowe zieją chłodną pustką, nuda snuje się po kątach i nawet zębów nie szczerzy; nieliczne odstępstwa od tej reguły nie ratują sytuacji. Rzecz natomiast w tym, aby wernisaż był obiecującym początkiem imprezy, a nie początkiem jej końca. Jak wiemy bowiem, wystawa z prawdziwego zdarzenia zaczyna się z chwilą, kiedy to ludzie przychodzą nań dla twórcy i zaspokojenia osobistych potrzeb kontaktu ze sztuką, nie zaś li tylko gwoli uczynienia zadość konwenansom. Wtedy to właśnie realizuje się intelektualno-emocjonalna dyskusja między twórcą i odbiorcą, wtedy wystawa przynosi rzeczywiste korzyści wszystkim zainteresowanym. Do owej dyskusji wszakże koniecznie potrzebne są dwie strony, a tu zaczynają się problemy.

Nie jest tajemnicą, że co znakomitsi artyści-plastycy nie garną się zbyt spontanicznie do rzeczonych imprez, a przynajmniej nie wszyscy. Brak bowiem publiczności na wystawie zwykle w potocznych odczuciach waży negatywnie na celowości i sensie takiej ekspozycji, a tym samym godzi zupełnie niesłusznie w dobre imię artysty. Nic zatem dziwnego, że wielu przekłada inne dowody uznania dla swoich osiągnięć i spokój ducha ponad wątpliwe często zaszczyty z owych „publicznych wystąpień", kiedy nie bardzo jest przed kim występować.

Łódzka publiczność wystawowa przedstawia się bowiem mniej niż skromnie. Dla przykładu w ubiegłym roku frekwencja łódzkiej młodzieży licealnej na wystawach BWA przedstawiała się następująco: co miesiąc, tj. prawie każdą wystawę odwiedzało ok. 1 proc. licealistów, co dwa miesiące — ok. 7 proc., dwa lub trzy razy w roku — niecałych 20 proc., jeden raz na rok — ok. 18 proc., zaś reszta — jeszcze rzadziej, a przeważnie wcale. Szacunkowe wskaźniki dla młodzieży ze szkół innych typów i braci studenckiej były o wiele niższe, a o uczestnictwie osób w wieku więcej niż młodzieżowym lepiej w ogóle nie mówić skoro pewnych danych nie można ująć nawet w promillach. Na ostatnich wystawach także nie było lepiej. Dlaczego?

Nie wszystko można tu wytłumaczyć totalnym brakiem zainteresowania łodzian plastyką, byłoby to zresztą dość wykrętne tłumaczenie. Wydaje się, że największym mankamentem łódzkich wystaw jest permanentny brak rzetelnej informacji o nich, a dotychczas stosowane jej formy zupełnie nie zdają egzaminu.

Kiedy udając turystę próbowałem indagować przechodniów (łodzian i to w centrum miasta) o wystawy plastyczne, na przeszło sto osób tylko około dziesięciu wskazało mi salon przy Piotrkowskiej; o reszcie placówek pytani mieli raczej mętne pojęcie, nie mówiąc już o tematyce wystaw. Biada turystom! Ale też chyba nikogo nie zdziwi w tym kontekście fakt, iż najczęściej odwiedzany jest właśnie Salon Sztuki Współczesnej przy Piotrkowskiej, najrzadziej zaś — Galeria Bałucka. Tak to, wobec braku należytej informacji, miejsce ekspozycji decyduje o jej ewentualnym sukcesie czy niepowodzeniu. Smutne to, lecz, niestety, prawdziwe!

Salon przy Piotrkowskiej jest widoczny wprost z ulicy, a to istotny walor reklamowy. Ośrodka w Parku Sienkiewicza jednak zupełnie nie widać w gęstwinie. A można by przecież w pobliżu umieścić kilka tablic informacyjnych; tyle ludzi chodzi po parku, może by więc i przy okazji... Galeria „główna" przy Wólczańskiej, gdy to pisałem, wdzięczyła się mocno podartymi plakatami, zaś choćby skromnej tabliczki było brak.

To prawda, iż są notatki i ogłoszenia w prasie, czasem nawet coś w radio czy telewizji, a poza tym plakaty, ale nie łudźmy się, że to wystarczy. Tzw. punktów plakatowych np. jest około 80, to niby jest już coś. Skąd jednak zwykły śmiertelnik ma wiedzieć, gdzie owe punkty się znajdują, aby trafić do plakatu?

Jeśli już o tych nalepianych wizytówkach mowa, to sporo nie wykorzystanych plakatów wala się po zakamarkach głównej siedziby BWA, a gdzie jeszcze? Podobno już w tym sezonie plakaty mają być sprzedawane na wystawach, zwłaszcza ku uciesze młodzieży, która chętnie zajmuje się ich kolekcjonowaniem. Czy dotąd nie można było tego robić? Jakoś nikomu wcześniej nie przyszło to na myśl.

Szczupłość miejsca nie pozwala mi choćby na sygnalizację wielu jeszcze kwestii godnych uwagi i głębszej analizy. Mam jednak cichą nadzieję, iż wszystkie one znajdują należyte zainteresowanie opiekunów łódzkich wystaw plastycznych, wiele bowiem koniecznie trzeba zrobić dla poprawy sytuacji i to czym prędzej. „Spes stultorum mater" — mawiali wprawdzie starożytni, ale oby tym razem nie mieli racji!

ZBIGNIEW S. NOWAK

NIE TYLKO HISTORIA

KORESPONDENCJA UCZONYCH

W dobie tworzenia się pierwszych w Europie akademii i towarzystw naukowych, pod koniec XVI i w XVII stuleciu, podstawową formą wymiany informacji między ludźmi nauki była prywatna korespondencja. Nie istniały jeszcze naukowe czasopisma, wielkie dzieła powstawały latami, więc badacze chętnie i często dzielili się swymi troskami i sukcesami w listach do innych uczonych oraz licznych wówczas osób, zainteresowanych naukowymi odkryciami. Kiedy w 1665 r. angielskie towarzystwo „Royal Society" rozpoczęło publikowanie swych „Philosophical Transactions", pierwszego czasopisma naukowego, znaczna część zamieszczanych w nim artykułów była po prostu listami, drukowanymi z opuszczeniem wstępnych i końcowych formuł. Wytworzył się nawet swoisty rodzaj naukowych snobów, którzy co prawda niczego w życiu nie wynaleźli i niczego nie zbadali, za to utrzymywali korespondencję z ogromną liczbą rzeczywistych uczonych na całym świecie i dzięki temu pierwsi wiedzieli o dokonanych odkryciach oraz przeprowadzanych badaniach. Później w miarę tego, jak nowożytna nauka wypracowywała właściwe dla siebie formy organizacyjne, mnożyły się akademie, towarzystwa i czasopisma naukowe, ów list, który niegdyś tak wiele znaczył utracił swą dawniejszą rangę. Pozostał jednak środkiem wyrażania poglądów, które nie zawsze można było, bądź chciało się wypowiedzieć publicznie, o czym wie dziś każdy historyk, zajmujący się dziejami jakiejkolwiek dziedziny nauki w czasach nowożytnych. Stąd też, choć listy uczonych z XIX czy XX wieku nie przynoszą już tyle, co ich poprzedników, są przecież nad wyraz cennym źródłem historycznym, pozwalającym nam nie tylko na poznanie osobowości autora, ale również jego pracy i zapatrywań na najrozmaitsze sprawy, o które w ten bądź inny sposób wypadło mu się otrzeć.

Mnożą się więc dziś publikacje listów rozmaitych uczonych z różnych krajów, bowiem przywiązujemy do nich coraz większe znaczenie w naszych codziennych badaniach naukowych. O tym, jak wiele można dowiedzieć się z tego rodzaju korespondencji, przekonuje raz jeszcze Stanisława Sochacka, która wydała nakładem Instytutu Śląskiego w Opolu (1975) nadzwyczaj interesujący zbiorek korespondencji, opatrzony tytułem: „Listy Lucjana Malinowskiego do Jarosława Golla. Przyczynek do dziejów polsko-czeskich kontaktów naukowo-kulturalnych w drugiej połowie XIX wieku". Lucjan Malinowski był wybitnym slawistą polskim, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Do jego uczniów zaliczają się Jan Bystroń, Stanisław Dobrzycki, Kazimierz Nitsch, Jan Rozwadowski i plejada innych, zasłużonych badaczy. Jarosław Goll był z kolei wybitnym historykiem czeskim, profesorem Uniwersytetu w Pradze, znakomitym badaczem dziejów średniowiecznych, wkraczającym nieraz w tematykę polską, przyjacielem Polaków, utrzymującym żywe stosunki z wieloma polskimi uczonymi. Jednym z nich był właśnie L. Malinowski, któremu J. Goll dedykował w druku jedną ze swych prac, poświęconą stosunkom Czech i Prus w średniowieczu.

S. Sochacka zebrała w swym wydawnictwie aż 110 listów L. Malinowskiego do J. Golla. Rzucają one wiele światła nie tylko na osobę ich autora, jego pasje i kłopoty, lecz również na najrozmaitsze sprawy, rozgrywające się w krakowskim środowisku naukowym w ostatnim dwudziestoleciu ubiegłego wieku. Leitmotivem powracającym nadzwyczaj często w tej korespondencji są słynne, a wówczas żywo dyskutowane w środowiskach slawistycznych, falsyfikaty Wacława Hanki. J. Goll początkowo opowiadał się za ich autentycznością, L. Malinowski od początku węszył fałszerstwo. Nie wypowiadał się na ten temat w druku, nie chcąc urazić czeskiej dumy narodowej, ale w licznych listach do J. Golla zbierał wszechstronne argumenty, przemawiające za wykluczeniem tych tekstów spośród średniowiecznych źródeł historyczno-literackich. Polski slawista nieraz też zawadzał w swych listach o politykę, zarówno tę wielką, ogólnoeuropejską, jak mniejszą, lokalną. Informował wreszcie o wielu sprawach krakowskiego świata naukowego, relacjonował wrażenia z naukowych dyskusji, z lektury książek. Wypowiadał własne sądy, przyznajmy, nie zawsze świadczące o zrozumieniu spraw społecznych i politycznych; manifestował przykładną — w oczach „stańczyków" — niechęć do wszelkich „demonstracji", występował przeciwko nierealistycznym, w jego przekonaniu, dążeniom tych wszystkich, którzy pod koniec ubiegłego wieku w Galicji — jak pisał 15 kwietnia 1892 r. — „udają, że wierzą w wybicie się własnymi siłami na wolność, apoteozują ostatnie powstanie i wcale ze swej polityki nie wyłączają i w przyszłości tego romantycznego środka przeciwko wszystkim i wszystkiemu, co by stało na zawadzie Polsce wielkiej, potężnej (...)", nie ukrywał swej niechęci do ruchu sokolskiego. I właśnie dzięki tym szczerym, adresowanym do przyjaciela wynurzeniom, możemy się wcale sporo dowiedzieć o ówczesnych problemach oraz stosunku do nich nie tylko zresztą jednego L. Malinowskiego. Edycja korespondencji polskiego slawisty z wybitnym historykiem czeskim, ogłoszona w niewielkim, liczącym 900 egzemplarzy, nakładzie, nie jest oczywiście lekturą dla szerokich kręgów czytelniczych. Z pewnością jednak jest wartościowym nabytkiem dla polskich i czeskich historyków nauki oraz tych wszystkich, którzy interesują się dziejami polsko-czeskich związków naukowych i kulturalnych.

LEKTOR

RYSZARD LISKOWACKI

I O ŁAPIDUCHACH PAMIĘTAJĄ KULE...

Łapiduch Kuryluk siedział na wilgotnej trawie. Kazali mu leżeć, a on siedział. Zsunął się z brudnego koca, trawę rękami ugłaskał. Oddychał głęboko, szybko, jakby na zapas, chociaż nie było się do czego spieszyć. Trawa. Po raz pierwszy od pięciu dni mógł sobie odpocząć. I to jeszcze jak. Ostra, kłująca dłonie. Zielona całkiem, bo słońca było jeszcze za mało, żeby tę zieloność chociaż trochę przyżółcić. Samochody jechały na zachód. Pojękiwały, wyszarpując się błotu, które do kół przylgnęło. A za samochodami w ciężkich podskokach haubice. I wysmukłe, siedemdziesiątki szóstki. A prawą stroną drogi, zawadzając bez przerwy o łąkę podmokłą, fury, furki, woziki, wózki pełne skrzyń i wszelakich tobołów. Z ludźmi także. Ale ludzie przede wszystkim na własnych nogach. Na tych zdrowych jeszcze, którym już bardzo blisko. Plutonami na zachód. Kompaniami, które rozciągały się na dwieście metrów, albo i dalej. Wszystkim się spieszy, ale nie wszyscy mogą nadążyć za tym swoim pośpiechem. Tam, gdzie już od samego świtu dym się nad ziemią unosił. Coraz wyżej, aż się z chmurami spotkał. Gdzie pohukiwało, bulgotało bez przerwy, jakby ktoś w wielkim garnku kartofle gotował. W wielkim. I na ostrym ogniu. Dla tych wszystkich, którzy na tej drodze. Na samochodach, wozach, furmankach, koniach, rowerach. A przede wszystkim na własnych nogach. Dla nich, jak zwykle, największa będzie porcja z tego gotowania. Dla najbardziej zmęczonych. Nie dla łapiducha Kuryluka, który o wszystkim może teraz myśleć. I nawet mówić. Tylko nie o zmęczeniu. Chociaż oddycha gwałtownie, jakby chciał z marszu w marsz. Jakby się chciał przyłączyć do pierwszego lepszego plutonu, rozczlapującego teraz ziemię dziesięć metrów od tej trawy ostrej. Na której Kuryluk. Przystaje ktoś. I jeszcze jeden. Patrzą. Twarze spocone ocierają rękawami. Prawie jednocześnie podnoszą ręce do bladych twarzy. W milczeniu wszystko, bo bulgotanie, które od zachodu dociera, nie zachęca do rozmów. I ten dym jeszcze. Szaroczarna, drgająca ściana, przez którą trzeba się będzie przebić. Wystarczy o tym pomyśleć, a już żadne słowo z gardła nie wyskoczy. Patrzą. Na dwa namioty. Jak przegnile sterty siana. Na te zielone kopczyki, które obok namiotów. Jęczące, poobwiązywane bandażami. Pomyśleć: dwa duże namioty, a zielonych kopczyków nie pomieściły. Na łapiducha Kuryluka, który najbliżej drogi. Jak by się nie mógł z nią rozstać. I jeszcze raz, trochę uważniej, na łapiducha Kuryluka. A dlaczego uważniej? Przecież mu nikt nie napisał na czole: to jest ten, który się zbyt często dziwił, że wszystkich trafiają, a jego nie mogą trafić. Chociaż lata po tych płaskich polach w tą i z powrotem. I nie ma nigdy czasu, aby głowę schylić. Patrzą. A Kuryluk na nich. Przede wszystkim na ich nogi. Bo na swoje już się napatrzył. A poruszajcie palcami w butach. Czujecie? Bolą? No i dobrze, że bolą. Bo są. Ocierają jeszcze czoła, patrzą jeszcze, ale już jakiś kapral, czarny, zarośnięty jak Cygan, piorunami ciska. Żeby się trzymać własnego plutonu, bo się za duży bajzel na tej wąskiej drodze zrobił. Przez którą wszyscy się muszą w jakimś tam porządku przecisnąć. Do tego dymu i bulgotania. Więc biegną niezbyt prędko, ślizgają się na błocie, podtrzymują rękami karabiny, które po plecach łubu-du, łubu-du, jak by ktoś ciężkim kijem poganiał. Kurylukowi chce się pić. Zwilża językiem popękane wargi. Myśli: zawołam. Znam ich przecież. Zbyt długo już idą i idą, żeby nie wiedzieć, że manierka nie może być pusta. Przez Prenzlew szli, a tam było trochę czasu i przynajmniej czysta woda w kranach. Znam ich. Jeden drugiemu nalewał i jeszcze w usta, prosto z kranu, brali na zapas. Ile trzeba wypić, żeby się napić do syta? Trzy manierki to za dużo? Zawołam. Niech chociaż trzy łyki. Ale teraz tylko samochody. I podskakujące za nimi, jak wielkie psy na uwięzi, działa. Ktoś musiał zatrzymać piechotę, żeby te mruczące maszyny przepuścić. Widocznie są bardzo potrzebne tam w przodzie, gdzie w pośpiechu rozdaje się małe, duże i największe role. I gdzie już w żadnej roli Kuryluk nie wystąpi. Więc dwa łyki. Albo jeden. Ktoś się wychylił z szoferki i pomachał ręką. Kurylukowi. Albo im wszystkim, Kurylukom, Ziębom, Jabłońskim, Twardzikom, Chałabudom, Kopczykom zielonym, bielą przystrojonym. Namiotom jęczącym. Kuryluk pragnął uwierzyć, że tylko jemu. Uczepił się tej myśli: poznał mnie. Może to porucznik Styczeń? A może podporucznik Kwiatosiński? Nie zapomną. Poszukają. Powiedzą komu trzeba i jak się trochę ciszy zrobi z dobrym słowem przyjadą. I ze spirytusem. Poznał? A w jaki sposób nasze twarze rozpoznać? Ten porucznik, którego snajper tak wstrętnie urządził pod Neu Rüdnitz. Banaszyński, czy Basiński? Dźwigałem. Temu to się naprawdę chciało żyć. Basiński chyba. Prosto w głowę. Napatrzyłem się na ten twardy leb. I pod Neu Rüdnitz i w sanbacie. Poznałbym? A ten z nie dokończonym listem w kieszeni? Tego to już zupełnie. Bo przecież bez głowy był. To i dlatego lepiej pamiętam. Nawet ten dół, do którego go wciągnąłem. Jeszcze był ciepły od wybuchu. Dół. Ale innych? Którym w oczy patrzyłem jak w głęboką studnię? Teraz już mogę, bo znów piechociarze moi. Pić. W błocie po kostki. Trzeba do końca w tym błocie? Pić, chłopaki. Jednakowe były te oczy. Szare i wszystkie szare i coraz bardziej blednące. Ten cholerny szczeniak pod Christiansaue. Zaraz przy bramie folwarku to było. Jeszcze z pierwszego piętra jakiś szwabski gnojek wielkie podwórze ołowiem kropił. Tak i przypadłem przy naszym szczeniaku. Ramię przy ramieniu, że jego drżenie czułem. A nie martw się za bardzo, syneczku, ciachnę, bo muszę ciachnąć. Ledwie ci się to wszystko na pańskiej skórce trzyma, ale to tylko lewa dłoń. Masz ty swoje szczęście jednak, że tylko lewa. A on do mnie: nie pieprz, staruszku, ciachaj staruszku, byle szybko i tak już nie jest moja. I tylko klął jak dorożkarz. Znam takich, klną, żeby się nie popłakać. Gdy się spieszyłem, żeby załatwić wszystko przyzwoicie. A twarz pamiętam? No, nie było już tak jasno. Trzy godziny braliśmy ten folwark. Ciachaj, staruszku. Taki on. Nie pieprz, staruszku. Słowa. A twarz? No, oczy to miał na pewno szare. Piechociarza przecież. Pić. Moi. Albo to nie ganiałem za nimi po tych polach mokrych i rowach, z których nawet butów nie można było wyciągnąć. Butów? A ciągnij takiego, który ci nawet jedną ręką nie pomoże. Ani nawet dobrym jękiem nie przynagli. Buty? Jaszewski miał chyba w kompanii najlepsze. Można je było w wodzie przez całą noc kąpać, a w godzinę były suche. Przedwojenne. Mówił. Długo schły na piecu, zanim polskie wojsko zapukało do mojego okna. Wszystko się zepsuło. I to jest chyba najgorsze, że do swojego okienka ja już nie zapukam. Niespodzianki im pięknej nie zrobię. Puk. Puk. To ja. Otwórzcie, przecież pukam i pukam. A gęby pootwierali, jakby święty Piotr stał przed progiem. To ty? Cały i zdrowy? Piotrek nasz? A kto ma być. A na kogo przez pięć lat czekacie. I już po wiosce całej tylko ten krzyk, w którym jest dużo płaczu i jeszcze więcej wszelkiej wesołości. I samego szczęścia. Jak chleba z masłem. Jak mleka rękami mojej matki pachnącego. Piotrek wrócił z wojny. O Boże ty mój, żeś był taki łaskawy dla nas. Wrócił. Nie zapukam. Inaczej wszystko musi być. Ale matka i tak chyba zawoła: dzięki ci Boże, żeś go nam oddał, chociaż nie takiego oddałeś, jak wziąłeś. Z butami coś trzeba. Nie takie one dobre jak Jaszewskiego, no, szkoda ich jednak, żeby w samotności wilgotniały. Nogom maszerować. No i butom także. Znów się kolumny na drodze skłębiły. Piechociarzy zgoniono na prawo, żeby kolumnę łączności przepuścić. Nogi. Buty. Nogi. Buty. Przy samych namiotach teraz. Przy tych zielonych kopczykach ostatkiem sił oddychających. Jak ta stratowana ziemia, nafaszerowana żelstwem. Lekarz przed namiot wyszedł i aż się zatoczył, aż go podtrzymali za ramiona. Cztery godziny pod namiotem i sześć amputacji. A różnych cięć, zszywań i innych drobiazgów to już nawet liczyć nie warto. Więc nie trzeba się nawet spieszyć na zachód, żeby się zmęczyć. Nogi. Łapiduch Kuryluk widzi te maszerujące. Długie, krótkie, w pałąk wygięte, jak by od urodzenia w siodle, na końskim grzbiecie wyginane. Leży teraz na prawym boku. Pić, chłopcy, przecież słyszę jak się wam manierki kolebią przy pasach. Przecież dawałem wam, gdyście już tylko oczami prosili. Następna kompania z drogi zgoniona. Znów po trawie nogi, buty, nogi. Widzi. Aż zatrzymały się buty najgorsze. Popękane, z odstającą zelówką, dziesięć razy na biwaku szyte. I usłyszał Kuryluk nad sobą głos bardzo zmęczony. Jak by z dużej wysokości ten głos na ziemię opadał. — Z wodą to u mnie gorzej, nieboraku, ale wódeczki mam trocha. Posmakujesz? Ona jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Wyciągnął łapiduch rękę. Szukał. I prawie po omacku w manierkę palcami trafił. Wódka była jakaś słaba, jakby ją ktoś dla oszczędności wodą rozcieńczył. A może się tylko Kurylukowi tak wydawało. Nie zapukam. W okno. W drzwi. Ani. Ale przecież wrócę. A ci wszyscy, którzy w wodzie i błocie? Bardzo głęboko, albo bardzo płytko? Lepiej im niż mnie, czy gorzej? Mogę sobie ładnie pytać, bo odpowiedzi nie usłyszę żadnej. Dopiero teraz głowę zadarł i na tamtego spojrzał, który z manierką przyszedł. Wysoki on, że chyba ze dwa metry mu będzie. A może wszyscy oni tacy wielcy, gdy się z dołu na nich patrzy. Gdy ich buty przy mojej twarzy. Żołnierz uśmiechnął się. Miał duże, końskie zęby i całe żółte od tytoniu. — No, to jeszcze sobie, nieboraku, łyknij. Tylko trocha mi zostaw, a resztę weź do swojego gardła. Ona ci da odpoczynek przyzwoity. I sen jakiś ludzki. Ta moja wódeczka, że też w obydwie nogi musiało cię trachnąć. Ale nie martw ty się, to tylko nogi, przecież. Najważniejsze u człowieka są oczy. Bez oczu to już nie ma nijakiego życia. Dwa miesiące ja miał bandaże na oczach, to mi możesz wierzyć. Łapiduch pokiwał głową, co mogło oznaczać, że uwierzył. Oddał piechociarzowi manierkę i zaraz sięgnął ręką do worka, na którym opierał głowę. Oczy to rzeczywiście najważniejsza w człowieku rzecz. Wyciągnął z worka swoje żółte, olejem natarte buty. Z grubą jeszcze zelówką nabijaną gwoździami. Piękne. Jak rasowe psy. No, tak oczy. Co ja bym bez nich? Weź, człowieku, jakże ci tam? — Wyglenda. Szósty pułk. Takie cudności chcesz mi dać? — Bierz, Wyglenda, przecież w tych swoich łapciach nie dojdziesz do Berlina. A jak nawet dojdziesz, to w tym świńskim mieście nie będziesz mógł sobie przyzwoicie zatupać. I dobrze się stało, że tamten nie marudził długo, że wziął co mu wielkodusznie oddano i za plutonem swoim pognał. Bo łapiduch Kuryluk musiał się natychmiast wypłakać. Pożegnał się z butami i dopiero wtedy zrozumiał tak naprawdę i na wieki wieków, że to były ostatnie buty w jego życiu. I dobrze się stało, że piechociarz pognał długimi susami, nie oglądając się za siebie, bo łapiduch Kuryluk nie po to przecież aż za Alt Oder na własnych nogach doszedł, żeby ten czy tamten nad jego łzami teraz się litował. I w ogóle...

z tomu opowiadań: „Zobaczyć błoto i umrzeć" (I nagroda na Ogólnopolskim Konkursie Literackim w 1975 r.).

FELIKS RAJCZAK

NOCE NA PLEBANII

Wreszcie skorzystałem z zaproszenia księdza Antoniego, abym przyjechał doń na miód, tak dobry na serce i razem z nim oglądał październikowe zorze. Gdy wysiadłem na przystanku w jego parafii, nie zapytywałem nikogo o księdza: kościół było widać z daleka. Od przystanku autobusowego do plebanii szło się aleją wiązową. Teraz w październiku było tutaj złociście i cicho.

Szedłem aleją, którą nadjeżdżał karawan. Zapewne ksiądz zajęty jest pogrzebem jakiegoś parafianina, skoro nie wyjechał po mnie swym samochodem. Gdy mijałem się z karawanem na chwilę błysnęło w dużych jego szybach słońce wiszące nad odległym lasem, wybuchnęło i znikło, jak czarny płomień. Od kościoła dobiegły żałobne głosy. Kościół stał na wzgórzu, u jego podnóża położony był cmentarz. Widzieć już mogłem czarną chorągiew powiewającą nad grobem i stojących w skupieniu ludzi. Zbliżałem się powoli, bo chciałem dojść wtedy dopiero, gdy już grób będzie zasypany i ludzie rozproszą się po cmentarzu.

Gdy wchodziłem furtką na cmentarz, ksiądz z organistą odchodzili od grobu, przy którym najbliższa rodzina zmarłego płakała i znajomi śpiewali mu ostatnią pieśń.

Ksiądz dojrzał mnie — i szliśmy sobie na spotkanie. Przywitałem go serdecznie i na swój sposób pokornie.

— Jesteś — powiedział, wyrażając swe zadowolenie z mego przyjazdu. Wracając z cmentarza, ksiądz opowiadał o nieboszczyku. Wydawało mi się, że streszcza swą egzortę. Doszliśmy do plebanii. Był to solidny budynek murowany, pokryty winoroślą. Zrobiło się już szaro i niewiele zobaczyłem w obejściu. Weszliśmy do wnętrza, gdzie matka księdza podsycała ognisko w kaflowym piecu. Przemieszał się tu zapach jabłek i świec; miało się poczucie straconego raju i czekającej wieczności.

Matka księdza przyjęła mnie życzliwie, lecz z pewną rezerwą. Na razie nie potrafiłem rozwiać jej nieufności, byłem zbyt zmęczony podróżą, i gdy już siedziałem w fotelu popijając herbatę z miodem, odpowiadałem na pytania skąpo i jakby z żalem, że wprawiają mnie nimi w zakłopotanie, bo kłamać tu nie chciałem naprawdę. Po kolacji matka księdza zostawiła nas samych; przedtem pokazała mi pokoik, w którym miałem spędzać noce na plebanii. Na dobranoc ksiądz pocałował matkę w rękę i ja idąc w jego ślady uczyniłem to samo, zastanawiając się przy tym, czy księża całują matki w rękę, czy odwrotnie, w co zresztą uwierzyć nie mogłem.

Sami najpierw milczeliśmy, potem ksiądz, zaczął mówić i mówił długo, czasami tylko wtrącałem słowo, pośpiesznie przerywane przez mego przyjaciela. Mówił o sobie, o swym powołaniu. To znałem już od dawna. Raziły mnie niektóre jego sformułowania, ale jako kolega ze szkolnej ławy mógł powiedzieć, bo to najważniejsze ponoć po latach — że mu się dobrze powodzi. Chociaż sam byłem w nie najlepszej sytuacji, nie potrafiłbym mu zazdrościć.

Wróciłem do wspomnień, nimi żyłem ostatnio znowu. Może lepiej: do pewnych pokładów, nawarstwiających się z czasem.

— Myślisz jeszcze o niej? — zapytał. tał.

— Bo ja wiem. Pamiętam. Nie wiem, co się z nią dzieje.

— Mógłbyś pojechać, niedaleko stąd przecież, po tamtej stronie jeziora.

— Po co? aby zobaczyć ją, wykupić swój list tragiczny i groteskowy zarazem, jeśli ocalał — i odjechać na zawsze. Może... Ciągle nie wiem, czy był to nieważny epizod, szczególnie dla niej, czy też...

— Więc pojedziemy jutro.

Przystałem milcząc. Ksiądz podniósł się i podszedł do okna, odchylił zasłonę i patrzył w ciemność. W tym czasie zwróciłem uwagę na obrazy wiszące na ścianach, ze smakiem dobrane; przeważały abstrakcyjne płótna. Odchodząc od okna był czymś przygnębiony i informował mnie, a odnosiłem wrażenie, jakby deklamował:

— Ciemno jak w worku z konopi. Ludzie przemykają wiejską drogą. Tą drogą, którą chodzili moi przodkowie, chłopi pańszczyźniani. Boso lub w trepach. W siermięgach. Gdzie ich kości? Po co wywołuję ich duchy? Za ścianą radio gra, mama czyta książkę. Ciepło tu. Na dworze wzmaga się wiatr. Drzewa w sadzie szumią czy drżą. Pijmy herbatę. Bracie kochany, dobrze żeś przyjechał. Ale pewnie chce ci się spać?

Przyznałem się, skinąwszy głową. Poszedłem do swego pokoiku, rozebrałem się i okrywszy się ciężką pierzyną, od razu zasnąłem w szerokim łóżku.

Zbudziło mnie ciepło jesiennego słońca. Na plebanii panowała cisza, tylko kura gdakała na podwórzu. Pomyślałem, że ksiądz odprawia mszę ranną, matka jego też chyba jest w kościele. Pośpiesznie podniosłem się z legowiska i wydostałem się na dziedziniec plebanii. Była już godzina dziewiąta i w kościele nikogo nie zastałem. Obszedłem kościółek wokoło żwirową aleją, jak po aureoli, którą przemierzają procesje i zbliżywszy się znów do plebanii, cicho zawołałem: Antoni.

— Tu jestem. Nie widzisz mnie?

— Nie! — rozkoszowałem się swym echem.

Przy studni stał księdza niebieski samochód. Nie znam się na markach samochodów, rozpoznaję je po kolorze jedynie, lecz to nie upoważnia mnie, abym nazywał je po ich firmowym imieniu. Ksiądz w obcisłym kombinezonie wyszedł spod samochodu; coś tam naprawił. Mogłem podziwiać jego budowę. Nie dziwiłem się już, że miał on wielkie powodzenie u parafianek.

— No cóż, jedziemy do niej — rzekł z uśmiechem.

— Nie mogę decydować...

— Zjemy śniadanie, boś zgłodniał, i wyruszamy.

Trwało to wszystko krótko: ksiądz przebrał się, zjedliśmy śniadanie połączone z obiadem i odprowadzeni błogosławieństwem matki jego, wyjechaliśmy w diecezję. Monotonna równina, szosy przecinające się, obsadzone drzewami żółknącymi na dojrzewającym powietrzu. Ksiądz prowadził wóz z prędkością średnią, płynnie, zapowiadał mijane miejscowości.

Zaczął padać deszcz, utrudniał widoczność. Wjeżdżaliśmy do miasta trochę zrezygnowani, z żalem do kapryśnej pogody. Obserwowałem przechodniów, niektórzy pod parasolami, przegrodzeni siatką siąpiącego deszczu byli niewyraźni, nieznani. Nie byłem też pewien, czy ją bym rozpoznał... Właściwie bałem się tego spotkania. Chętnie bym się wycofał, rezygnując z tej wizyty, o czym powiedziałem księdzu Antoniemu. Uspokoił mnie:

— Nie śpiesz się. Wstąpimy przynajmniej na kawę.

Antoni podjechał pod lokal przy jakiejś wąskiej uliczce. Zamówił kawę i wino jugosłowiańskie. Nie oponowałem, bo nie wiedziałem kto będzie pił — ja nie miałem ochoty.

— Strasznie jesteś niezaradny — zaczął mi robić wymówki. — Nawet nie znasz jej adresu. A czy pamiętasz jej nazwisko? — już kpił.

— Może je zmieniła...

Wypiliśmy pierwsze kieliszki wina. Podziałało na mnie krzepiąco. Wtedy podszedł do mnie wysoki brunet i położył mi dłoń na ramieniu.

— Co tu robisz? — zagadnął.

— Znów jesteś w sanatorium? — nie odpowiadałem od razu, starając się przypomnieć sobie nadaremnie jego nazwisko, chociażby imię.

— A jej tu już nie ma. Wyjechała do kliniki.

— Nie o to pytałem.

— Tak, leczę nerwicę. Mam urlop dziekański.

— Napijesz się?

— Mogę. Chociaż czasu mam niewiele. Umówiony jestem.

Ksiądz przyglądał się uważnie przybyszowi, który wzniósł toast — za nasze zdrowie, jak to wypowiedział z przejęciem, iż może się tym przynajmniej zrewanżować. Znajomy podziękował i odszedł. Czułem się tu niepotrzebny. Wyjaśniłem księdzu, kim był przygodny towarzysz. Zacząłem go molestować:

— Antoni, wracamy. Nigdy tu nie przyjadę.

— Przyjedziesz, przyjedziesz.

Zdecydowaliśmy się opuścić miasto. Zrobiliśmy rundę ulicą Solankową, wycofując się kasztanową aleją — i wypadliśmy za miasto. Przed mostem na kanale zatrzymała nas „lotna". Ksiądz otworzył drzwi samochodu i pierwszy zwrócił się do funkcjonariuszy z powitaniem:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki — odpowiedzieli. — Ach, to ksiądz Antoni. Przepraszamy.

Podziwiałem księdza, bez słowa. Wkrótce dobrnęliśmy do plebanii. Na księdza czekali już młodzi narzeczeni: przynieśli na zapowiedzi. Ksiądz przyjmował ich w kancelarii parafialnej, a ja zostałem z jego matką. Nie zadawała mi pytań i ja też nie miałem chęci do rozmowy. Wziąłem Biblię i poszedłem do swego pokoju. Zawsze obiecywałem sobie, że kiedyś się do niej dobiorę. Następne trzy dni i noce spędziłem z nią. Tylko przy obiedzie widywałem się z Antonim. Zajęty swymi sprawami, nie przeszkadzał mi, rozumiał mnie doskonale i byłem mu za to wdzięczny. Pogoda się popsuła, było mglisto i zórz już nie oglądaliśmy. Gdy nadszedł dzień mego odjazdu, odprowadził mnie na przystanek autobusowy. Przy pożegnaniu ponowił zaproszenie, abym odwiedził go znów w przyszłym roku. Nie mogłem odmawiać teraz, chociaż przyrzekłem sobie w tej chwili właśnie, że jeśli kiedyś przyjadę, to tylko po to, aby u niego się wyspowiadać. Nie powiedziałem mu tego jednak, bo mógłby mnie źle zrozumieć.

Konary drzew pustoszały z liści, powoli lecz nieodwracalnie. Do szyby ruszającego autobusu, który mnie powiózł, przywarł liść wiązu.

WSPOMNIENIA WIECHA

Dalszy ciąg ze str. 1

się w redakcji korpulentna blondynka z dwuletnim chłopczykiem na ręku, pragnąca zobaczyć się z Józefem Gawędą, to jest ze mną.

Kiedy wyszedłem do hallu i przedstawiłem się, blondynka omal nie zemdlała. A potem tonąc we łzach oświadczyła, że ojciec nieślubnego jej dziecka, odwiedzając od czasu do czasu miasto, w którym zamieszkiwała, podawał się ni mniej, ni więcej, tylko za Józefa Gawędę z „Dzień Dobry". Wskutek rad udzielanych na miejscu została matką tego właśnie dziecięcia.

Oczywiście wszystko się wyjaśniło, ale złośliwi koledzy długo jeszcze twierdzili, że chłopczyk był kubek w kubek do mnie podobny.

Z ulgą też oddałem wkrótce Gawędę w inne ręce, gdyż zaproponowano mi objęcie stanowiska sprawozdawcy z sądu grodzkiego.

W „GRECKIM" SĄDZIE

Podjąłem się tego nie bez obaw, czy sam sobie radę z nową dziedziną pracy dziennikarskiej, wymagającą chociaż pobieżnej znajomości procedury sądowej i terminologii prawniczej. Ale wyszło nieźle.

Nie zastanawiając się specjalnie nad zagadnieniami prawnymi, opisywałem to, co widziałem na sali sądowej, w sposób felietonowy. I tu znowu przyszło mi w sukurs gwarowe wykształcenie. Klientem sądów grodzkich był w większości wypadków szary warszawiak, przeważnie posługujący się gwarą. Odtwarzając dialogi, jakie toczyły się przed sądem między stronami, cytując czasem dosłownie zeznania oskarżonych lub wynurzenia świadków, miałem prawie gotowy felieton.

Można tam było usłyszeć prawdziwe perły warszawskiego wysłowienia. Stylowy bowiem warszawiak, postawiony przed karzące oblicze sprawiedliwości, starał się wywrzeć na sądzie jak najlepsze wrażenie. Nie mówię już o tym, że ubierano się do sądu starannie, a nawet wręcz elegancko. Panowie występowali niejednokrotnie w żółtych skórkowych rękawiczkach, panie w kapeluszach z kaczym skrzydłem. Ale też język, którego używano, był wykwintny, pełen wyszukanych zwrotów i prawniczych terminów.

Zwracano się do sądu per „Wysoka Eksmisjo" czy „Wysoka Proceduro". A raz, pamiętam, kiedy pewien adwokat powiedział w przemówieniu, że „sąd jest najwyższym ekspertem", podchwycił to natychmiast oskarżony i zwrócił się do sędziego: „Najwyższa Ekspertyzo!"

Przymus codziennego dostarczania prasie co najmniej jednego felietonu sądowego, czyli tak zwanych wówczas „pyskówek", które się bardzo przyjęły, sprawiał, że musiałem spędzać w lokalach sądowych sporo czasu, bywać codziennie w kilku jego oddziałach.

A przedwojenny warszawski sąd grodzki wyglądał zgoła inaczej niż jego odpowiednik, obecny sąd powiatowy w alei Świerczewskiego, czyli na dawnym Lesznie. Teraz jest to monumentalny gmach, pełen powagi i namaszczenia, wykładany marmurami i ozdobiony brązem.

Stylowy dawny warszawski sąd grodzki, pod zmieniającymi się zresztą często nazwami: „pokoju", „powiatowy", miał inną nieco postać.

— Do sądu? W oficynie na lewo, tam gdzie pisze: „Magiel elekstryczny". A potem na trzecie piętro, drzwi po prawej stronie, naprzeciwko krawca.

W taki lub podobny sposób informował przeważnie dozorca warszawskiej kamienicy osoby poszukujące ukrytego gdzieś w labiryncie podwórek lokalu sądu.

Siedziba jego mieściła się zazwyczaj wysoko, naprzeciwko krawca, felczera szpitala starozakonnych oferującego codziennie świeże pijawki, składu pierza i puchu lub jakiejś innej instytucji prywatnej. Składała się z kilku pokoi z kuchnią, przy czym w kuchni przeważnie, z grubsza przekształconej na gabinet, urzędował kierownik sądu.

Latem przez otwarte okna dobiegały do sali rozpraw odgłosy życia warszawskiego podwórka:

— Lutuje, reperuje!...

— Sklijam szkło, fajans, porcelany i klajzetowych misek!...

— Powróżyć, powróżyć, prawde powiem!...

Tej dźwiękowej reklamie z różnych wędrownych przedsiębiorstw sekundował z lekka przepitym głosem, przy akompaniamencie pedałowej harmonii, podwórkowy tenor:

„Nazywam się Titine... Titine... ach! Titine..."

Jeśli się, doda jeszcze do tego szczekanie psów, siekanie kotletów i pogadanki radiowe płynące z otwartych głośników, nic dziwnego, że „Wysoki Sąd" nie mógł często dojść do słowa. Zamknąć okno w pokoju wypełnionym przez kilkadziesiąt osób, wśród których nigdy nie zabrakło reprezentanta handlu śledziami, było równoznaczne z dobrowolnym zatrzaśnięciem się w zatopionej łodzi podwodnej na dnie oceanu.

Toteż okna były otwarte — powietrze, mile drażniące powonienie zapachami befsztyków z cebulką oraz zrazów z grzybkami, wpadało do sali bez przeszkód, odrywając myśli szafarzy sprawiedliwości od suchych paragrafów prawa i artykułów ustaw oraz rozporządzeń. Teraz skończyło się to wszystko. W ciszy i dostojnej powadze Temida odważa swoje nieomylne wyroki.

A jednak są ludzie, którzy żałują starych kątów w sąsiedztwie składu pierza i puchu. Ciasno było, bo ciasno, pachniało, bo pachniało, ale tak się jakoś po domowemu odbywał nieprzyjemny zazwyczaj akt wymiaru sprawiedliwości. Karzący miecz prawa rzymskiego nie mógł świstać swobodnie w atmosferze przesyconej wonią rzymskiej pieczeni. Korzystali na tym nieszczęśnicy, na których głowy ten miecz miał spadać. Cała machina odwetu społecznego łagodniała, proces odbywający się w czteropokojowym mieszkaniu z wygodami, zamieniał się w familijne zebranie, gdzie surowy, ale wyrozumiały ojciec karcił lekkomyślnego syna, wskazując mu drogę wiodącą do poprawy. Ludzcy, dobrzy sędziowie pogłębiali jeszcze tę atmosferę.

Był jeden taki, który mówił do podsądnych przeważnie po imieniu. Wyglądało to mniej więcej tak: Stawał przed sądem niejaki Kazimierz Piskorz, oskarżony o pobicie sąsiadki, Agnieszki Kropidłowskiej.

— No i cóż, panie Kazimierzu, słyszał pan, co tu się o panu mówiło? Taki przystojny, dobrze wychowany młody człowiek z rurką gazową rzuca się na kobietę?

Pan Kazio kręci się niespokojnie, czerwieni i wreszcie mówi:

— Tak mnie się wyrwało, proszę Sądu Wysokiego.

— No, ja rozumiem, że musiał pan być wtedy roztargniony, zdenerwowany, ale co my tu z tym teraz zrobimy? A może pani Agnieszka przebaczy panu Kazimierzowi tym razem, co? My to tu zapiszemy do książki i jak mu się jeszcze raz wyrwie, pójdzie do kozy. No co, dobrze będzie?

Pani Kropidłowska opiera się na razie, ale gdy zachęcony przez sędziego pan Piskorz przypada jej do rączek, mięknie jak wosk i po chwili w najlepszej zgodzie wychodzą z sali mówiąc:

— Równy chłop ten sędzia, jak pragne zdrowia.

W sympatycznej prywatnej aurze nie brakło nigdy momentów szczerego humoru. Oto staje przed sądem świadek z tak obandażowaną głową, że widać mu tylko jedno oko.

Sędzia wypytuje go o personalia: imię, nazwisko, wiek, wreszcie mówi:

— Pan żonaty?

Świadek dotyka bandaża na głowie i odpowiada:

— Nie, ja wyleciałem z tramwaju, proszę pana sędziego.

Intymne warunki lokalowe sprawiały, że przewód pozbawiony był przeważnie wszelkiej pompy i nacechowany sporą dozą familiarności. Bo jakże tu zachować urzędową sztywność, kiedy, dajmy na to, oskarżona po usłyszeniu wyroku, ogląda się po sali i mówi z wyrzutem do sędziego:

— Ironia losu, prosze Wysokiego Sądu, w swojej własnej sypialni dostaje tydzień aresztu. Bo to było moje mieszkanie. Mój figus tu na oknie stoi, mógłby Wysoki Sąd kazać go podlać — i rzuciwszy sędziemu pełne goryczy spojrzenie wychodzi.

Wszyscy obecni patrzą na figurujący na parapecie przyżółkły „olejander" i konstatują, że ma istotnie sucho.

Albo czy w surowych salach gmachu na Świerczewskiego byłaby możliwa scena zaobserwowana przeze mnie, kiedyś w VII oddziale sądu grodzkiego na Krochmalnej?

Świadek, zeznający w procesie swojej żony, żąda rozprawy przy drzwiach zamkniętych. Sąd przychyla się do tej prośby. Poleca opróżnić salę i proces toczy się tajnie. W zeznaniach nie ma jednak żadnych okoliczności, które wymagałyby tego typu rozprawy. Po zamknięciu przewodu sędzia ze zdziwieniem pyta świadka:

— Dlaczego właściwie żądał pan rozprawy przy drzwiach zamkniętych?

— Bo chrypki dostaje, jak w cugu przemawiam i migdały mnie sie powiększają, prosze greckiego sądu.

W „greckim" sądzie osiągnąłem jak gdyby najwyższy stopień gwarowego wtajemniczenia. W latach chłopięcych, biegając po Kercelaku, przeszedłem coś w rodzaju początkowego kursu gwary warszawskiej. Później, prowadząc Teatr Popularny, uzupełniłem to wykształcenie do poziomu średniego. Jednak dopiero asystowanie przy niezliczonych procesach w salach sądowych pozwoliło mi wznieść się dość wysoko w tej gałęzi wiedzy.

Była to prawdziwa kopalnia zwrotów gwarowych, od najbardziej uczonych aż do zelżywych, czyli „publicznych". W wielu bowiem procesach przytaczać trzeba było podczas rozprawy w oryginalnej, pysznej wersji najbardziej kunsztowne wiązanki, którymi „strony" kiedyś tam na ulicy, w maglu, w bramie czy w tramwaju obficie się obrzuciły.

Ale czasem udawało się je omówić. Na przykład kiedyś w sądzie na Targówku obrażony przodownik policji krępuje się powtórzyć przed sądem słowo, którym go zelżono. Wtedy sędzia znajduje wyjście:

— Niech pan podyktuje do protokołu.

Przodownik nachyla się do protokolanta i coś mu szepce. Protokolant jakby się zawahał, widząc to sędzia mówi:

— Niech pan pisze przez „ch", panie kolego.

Pytano mnie kiedyś, czy uważam się za współtwórcę gwary warszawskiej. Współtwórca to za duże słowo. Starałem się zawsze wiernie ją tylko odtworzyć. Oczywiście, zdarzało się czasem na kanwie istniejących zwrotów wyprodukować coś nowego, ale wypadków tych było bardzo niewiele. Ograniczałem się zazwyczaj do oszlifowania tej gwary, uzdatnienia, jak to się teraz mówi, do druku, bo w całkowicie wiernej postaci byłaby chropawa i nieczytelna. Trzeba ją też było trochę uszlachetnić, usunąć wyrażenia niesłychanie może barwne, ale zbyt plastyczne. Stępić jej ostrze. Zastąpić określenia zbyt drastyczne łagodniejszymi, elegantszymi, nie sprzeniewierzając się jednak autentyzmowi.

Dotyczyło to przede wszystkim ulubionego warszawskiego zwrotu, kwestionującego moralne prowadzenie się czyjejś mamy, czyli pomówienie kogoś, że jest „wnukiem Koryntu". Wiele pomysłowości wykazywali w tym wypadku bohaterowie moich felietonów, przy mojej, nieznacznej zresztą, pomocy. Gwara bowiem jest tak zasobna, że nie wymaga interwencji z zewnątrz.

ZAMIAST KAWIORU — DZWONEK

Konieczność zdążenia z felietonem przed zamknięciem numeru powodowała, że prosto z sądu, nieraz bez obiadu, biegłem do redakcji. Przeniosła się ona już wtedy z ciasnych pokoików na Nowym Świecie do własnego pięknego gmachu przy Marszałkowskiej 3/5/7, tam gdzie mieści się dziś „Życie Warszawy".

Nowy, specjalnie przebudowany z fabryki dywanów, budynek zawierał oprócz wspaniale urządzonej części redakcyjnej, połączonej bezpośrednio z zecernią linotypową i ręczną, wielką halę maszyn oraz ekspedycję i inne przyległości, konieczne dla wielkiego już teraz wydawnictwa, które przybrało nazwę: Dom Prasy.

Jakie to było niepodobne do starego lokalu „czerwoniaków"! Nowe warunki spowodowały inny zgoła porządek w pracy dziennikarskiej. Dawniej przy jednym biurku tłoczyło się po kilku kolegów, czekając niejednokrotnie na ciepłe jeszcze miejsce. Teraz dostojne, przeszklone kryształowymi szybami gabinety służyły za miejsce pracy dwóm, a najwyżej trzem dziennikarzom.

Dawniej bodźcem nakłaniającym do punktu przychodzenia była nieduża szafka, zawierająca butelkę francuskiego koniaku i kanapki z kawiorem. Kto przychodził przed wyznaczoną godziną, otrzymywał od zarządzającej tymi skarbami bufetowej, monumentalnej pani Zofii, kieliszek koniaku i dwie kanapki. Po wybiciu tej godziny szafka była zamykana i żadne prośby nie pomagały. O wysokoprocentowym bodźcu mającym na celu wprowadzenie się w trans pracy nie było już mowy.

Na Marszałkowskiej szafkę zastąpiły dzwonki. One to uprzedzały o zbliżającym się terminie zamknięcia numeru, one zmuszały do punktualnego przychodzenia. Osobiście nie byłem związany takimi rygorami jak koledzy opracowujący bieżący numer, musiałem tylko zdążyć z felietonem na ostatni dzwonek. To spowodowało u mnie tak zwany odruch warunkowy. Bez tego miecza Damoklesa wiszącego nad głową nie potrafiłem pisać.

Siedziałem w wygodnym zresztą fotelu, obserwowałem przez szklaną ścianę zawrotne tempo redakcyjnego życia na korytarzu, a do roboty wziąć się jakoś nie mogłem. Dopiero zbliżające się nieuchronnie ostatnie momenty oddawania rękopisu podrywały mnie do czynu. Tytuł pisałem często biegnąc przez korytarz do zecerni. To niestety pozostało mi do dziś, nie potrafię pracować na zapas, do szuflady. Muszę czuć w powietrzu ten ostatni dzwonek. To między innymi spowodowało, że słowa niniejsze docierają do czytelnika z dwuletnim opóźnieniem. Nie mogłem się jakoś zabrać do tego pamiętnika. Za długi dostałem termin od wydawców. Przypuszczam, że to jakaś choroba woli, chociaż żona twierdzi, że tego rodzaju chory nazywa się po prostu leń patentowany.

W skład ówczesnej redakcji oprócz kilku wybitnych starszych dziennikarzy wchodziła sama młodzież. Zdolna, bystra, umiejąca wycisnąć interesujący szczegół z najbardziej suchej wiadomości i podać ją pod sensacyjnym tytułem.

Za najlepszy zresztą tytuł w numerze redakcja dawała premię — dwadzieścia pięć złotych. Było to dużo pieniędzy, na przykład para bardzo porządnych półbutów, gorszych dwie. Chociaż czasem bywały z tymi tytułami kłopoty. **Jedna z koleżanek, chcąc ozdobić wyszukanym nagłówkiem sprawozdanie z wystawy drobiu i zwierząt futerkowych w ogrodzie na Bagateli, napisała: „Skrzydlaci i futerkowi dygnitarze na wystawie drobiu". Tytuł, owszem, nieprzeciętny, ale stał się powodem pewnych petrurbacji dla redakcji. Mianowicie zaraz pod nim umieszczona została fotografia z otwarcia, przedstawiająca komitet wystawy i zaproszone wysoko postawione osobistości, wśród nich prezydenta miasta Starzyńskiego.**

Po ukazaniu się numeru z tym artykułem naczelny redaktor Butkiewicz otrzymał telefon:

— Tu Starzyński, powiedzcie mi, za jakiego dygnitarza mnie uważacie, za skrzydlatego czy za futerkowego?

Na szczęście prezydent Stefan Starzyński miał wielkie poczucie humoru i nie obraził się. Skończyło się tylko na uwadze Butkiewicza pod adresem redakcji, żeby staranniej koordynowała zdjęcia z tytułami.

Chochlik drukarski płatał czasem „czerwoniakom" dotkliwe figle. Oto pewnego dnia na pierwszej stronie „Expressu Porannego" ukazała się mowa ministra spraw zagranicznych, Augusta Zaleskiego. Na końcu pierwszej szpalty wśród wynurzeń ministra na temat sytuacji w Europie widniało zdanie: „Tango Kataszka — Ja cierpię dolę".

Wybuchł wielki skandal połączony z dochodzeniem policyjnym. Nawet ja byłem pytany, czy w jakimś ze swoich felietonów nie użyłem tego zwrotu, który potem zaplątał się w mowę ministra. Odrzuciłem to pomówienie z oburzeniem — nie wtrącam się do polityki i niemuzykalny jestem. Na razie podejrzewano nawet sabotaż, ale się okazało, że to po prostu któryś z zecerów dla zabawy wystukał sobie na linotypie to figlarne zdanko, które jakoś zawędrowało do wynurzeń ministra Zaleskiego. Winne były po prostu pośpiech i korekta. No i może ten drań chochlik.

MÓJ SOBOWTÓR — GIENIEK KOPYCIŃSZCZAK

Rosnąca popularność mego felietonu zaczęła przynosić wkrótce dość niezwykłe owoce. Siedzę kiedyś zapracowany w swoim redakcyjnym boksie i otrzymuję wiadomość od portiera z hallu, że oczekuje mnie niejaki pan Śmietanka, mój dobry znajomy, który pragnie się ze mną zobaczyć. Jakkolwiek nie przypominałem sobie wśród znajomych pana o tym nazwisku, wyszedłem na jego spotkanie. Przy oknie stał czerstwy brunet w butach z cholewami, półkożuszku i ze skórzaną szoferską czapką w ręku. Poinformowawszy się, że jest to pan Śmietanka, podszedłem doń żywo. Pan Śmietanka wyciągnął do mnie ramiona i zawołał:

— Gieniek, słoniu mokotowski, lebiego niewidymko, jak się masz, ile ważysz, daj pyska!

I zanim się spostrzegłem, wycałował mnie z dubeltówki, po czym, odsunąwszy się o krok w tył, ogarnął mnie zdziwionym spojrzeniem i rzekł z pewnym wahaniem:

— Ależ się, bracie, zmienił... no... no...

Po czym przymrużył oczy, podszedł do mnie blisko i wyjąkał:

— Przepraszam, to chyba nie pan? Czy z panem Wiechem mam zaszczyt?

— No tak.

— Dziwna rzecz. A czy pan szanowny leżał w zeszłym roku w szpitalu na Czystem, na trzeciej sali, przy piecu, na nogi pan nie mógł chodzić?

Sięgnąłem w głąb pamięci. Nie. Nie leżałem nigdy w szpitalu na Czystej, a „na nogi" zawsze chodziłem bez żadnych trudności. Jakaś straszliwa zagadka, którą pan Śmietanka natychmiast jednak rozwiązał.

— Znakiem tego zostałem uderzony w kant. Uważa pan, rok temu nazad leżał ze mną w szpitalu niejaki Gieniek Kopyciński, któren zaznaczał nieraz, że streszcza do kuriera pod pseudonimem Wiech.

Chcąc się dowiedzieć czegoś bliższego o swym sobowtórze, zasypałem pana Śmietankę gradem pytań. Jak wygląda ten drugi Wiech, czy jest sympatyczny, przystojny?

— Faktycznie wstydu panu nie robi, owszem, wesoły jest chłopak, humorystyczny żart zawsze odstawić potrafi, czy w dzień, czy w nocy. A tak obsztorcować kogoś, jak on, rzadko kto umie. Sadysfakcja posłuchać. Ja, jako kierowca, jestem obsłuchany pod względem publicznego wyrazu i tyż swoje wymowe posiadam, ale kudy mnie do Gieńka Kopycińszczaka. Pamiętam, jak raz zesobaczył posługaczkie za to, że mu za małe jajka na miętko na śniadanie przyniesła, to trzy godziny doktorzy musieli ją czucić. Inszą znowu razą kołdrą się nakrył i wściekłego buldoka zaczął podstawiać, bo i do tego ma zdolność — to, mówie panu, najcięższe chorzy z łóżek wyskakiwali i pryskali, gdzie kto mógł. Cały szpital na równe nogi sie zerwał... Tak, tak, operus był chłopak i za bardzo wypierać się go nie masz pan potrzeby — powiedział z uznaniem pan Śmietanka, ale zaraz dodał, że mimo całej sympatii, za to nabicie w karafkę połączone z pożyczeniem trzydziestu złotych nie omieszka przy pierwszym spotkaniu tak się na nim odegrać, że mój sobowtór znowu straci władzę w nogach na czas dłuższy.

Starałem się złagodzić wzburzenie pana Śmietanki oświadczając, że nie mam najmniejszego żalu do wesołego pana Gienia, gdyż jestem przyzwyczajony do sobowtórów. Ponieważ Gienio w zamian za pożyczkę obiecał swemu szpitalnemu przyjacielowi posadę kierowcy w redakcji, postanowiłem wziąć na siebie wykonanie tego przyrzeczenia i poprzeć jego kandydaturę, gdzie należy. Chodziło tu przecież o „honor rodu". Dzięki wspaniałemu poczuciu humoru współwłaściciela wydawnictwa, Antoniego Lewandowskiego, pan Śmietanka tę posadę dostał.

Na ogół nie lubiłem wizyt składanych mi w redakcji. Rzadko kiedy przynosiły coś przyjemnego. Wspominałem już o dziewczynie, która przyniosła dziecko, teraz przytoczę tu inne dość niemiłe odwiedziny.

Pyskówki były to obrazki prawdziwe, chwytane na gorąco na sali sądowej, ale muszę się przyznać, że czasem zmieniało się stan faktyczny, żeby było zabawniej. Z kolei aby nie było reklamacji ze strony uczestników procesów, obdarzało się ich fikcyjnymi nazwiskami. I na tym tle jakiejś sprawy w sądzie grodzkim na Przechodniej zmieniłem nazwisko i imię głównego bohatera na Mieczysław Sznabelpik, przypuszczając naiwnie, że taki się w Warszawie nie znajdzie. I oto już na drugi dzień zjawia się u mnie nieduży, rudawy pan, trzymający w ręku bilet wizytowy: „Mieczysław Sznabelpik, agent giełdowy. Pawia 6 m. 13" i bez dalszych wyjaśnień mówi:

— Panie Wiech, ja wiem, kto mnie to zrobił. Grynberg mnie to zrobił, ten łobuz, sumograndus. Co on mnie już nie robił, pogotowie mnie w nocy przysłał, trumnę przynieśli, straż ogniowa przyjeżdżała też.

Błyskawicznie się połapałem, że pan Sznabelpik posądza o inspirowanie tej fałszywej notatki jakiegoś swego zaciętego wroga nękającego go na różne sposoby. Oczywiście nie przyznałem się do mistyfikacji, kategorycznie jednak wykluczyłem udział w tym pożałowania godnym wypadku diabolicznego Grynberga. Wyjaśniłem, że zaszło nieporozumienie, przyrzekłem sprostowanie i rozstaliśmy się w zgodzie. Może dlatego, że niewinna ofiara mojej lekkomyślności niezupełnie miała na imię — Mieczysław.

Ale moje wpadunki były niczym w porównaniu z kłopotami, w jakie się wikłał dzięki swoim mój kolega z jednego boksu redakcyjnego, świetny pisarz i znakomity dziennikarz, Władysław Zambrzycki. Pan Władysław, uroczy człowiek o niepowtarzalnym dowcipie i niezrównanej fantazji, prowadził w „Expressie" kronikę drobnych wypadków warszawskich, opracowywaną w jemu tylko właściwy, przezabawny sposób. Sprawiało to, że strona ostatnia była czytywana w „Expressie" jako pierwsza.

Otóż jeśli raporty policyjne nie przynosiły tego dnia odpowiedniego materiału, pan Władysław sam wymyślał fikcyjne zdarzenia, wypadki, awantury i afery. Jego to fantazji zawdzięczamy legendę o genialnym, dobrodusznym oszuście warszawskim Janie Cynianie. Cynian, który jakoby sprzedawał kolejno naiwnym kmiotkom odwiedzającym Warszawę: kolumnę Zygmunta, tramwaj, most i wydzierżawił na dansing halę Dworca Głównego, nie istniał naprawdę nigdy. A raczej istniał w płodnej imaginacji pana Władysława. Asystowałem przy narodzinach tej świetnie narysowanej postaci, tak plastycznej, że nikomu nie przyszło do głowy powątpiewać o jej autentyzmie. Trzeba przyznać, że pan Władysław nie nadużywał nadaremno popularnego nazwiska swego bohatera. Wypuszczał go na kolumnę „Expressu" ostrożnie, wówczas kiedy naprawdę nie było żadnego innego sensacyjnego materiału, nadającego się na tak zwany mały kryminał.

Cynian pozostał w legendzie warszawskiej na stałe i dziś jeszcze wspomina się czasem z podziwem o tych jego zdumiewających transakcjach handlowych.

Różne dziwne rzeczy sprzedawano w Warszawie naiwnym przybyszom z prowincji, ale nie było wśród tej bogatej kolekcji kolumny Zygmunta, nie było mostu Kierbedzia ani tramwaju. To wymyślił pan Władysław. Z prawdziwą przykrością odsłaniam kulisy tego barwnego mitu międzywojennej Warszawy, świadczącego, że nie ma cwaniaka nad warszawiaka. No cóż, przyszedł taki czas, że trzeba się starać o inne powody do dumy z rodzinnego miasta.

Otóż, jak się wyżej rzekło, miał kolega Zambrzycki tarapaty związane ze swymi zabawnymi pomysłami. Zgłaszali się często z pretensjami ludziska zrobieni na szaro w dowcipnych notatkach i artykulikach ostatniej strony „Expressu Porannego". Ale zawsze jakieś jeszcze dowcipniejsze wyjaśnienie zamieszczone nazajutrz rozładowywało napięcie i „klient" nie miał pretensji. Nie zgłosił się tylko nigdy pan Jan Cynian. Rzecz prosta dlatego, że nie było go na świecie. Ale w wieści gminnej żyje nadal. Przeżył, niestety, swego autora.

FILM

PREMIA

Pokazany w ramach tegorocznych Konfrontacji film „Premia" zbierał oklaski w trakcie trwania jego projekcji — a zdarza się to w naszych kinach niezwykle rzadko. Przypomnieć ten fakt warto tym bardziej, że uznanie widowni dla filmu o temacie produkcyjnym jest wydarzeniem jeszcze rzadszym niż oklaski przy otwartej kurtynie. Tzw. produkcyjniaki nie mają swej dobrej karty w dziejach kina, a chlubne wyjątki, jak choćby polski „Człowiek na torze" czy czeski „Oskarżony", potwierdzają jedynie tę regułę. Sukces „Premii" w Związku Radzieckim, ale także sukces naszych telewizyjnych „Dyrektorów" wyjaśniają i potwierdzają przyczyny niepowodzeń wielu dokonań autorów „produkcyjniaków", w których intencje i wyobrażenia mijały się z rzeczywistością, a bohaterowie byli nosicielami racji i powinności założonych z góry i nie wyrastających z obiektywności sytuacji społecznej i psychologicznej. Tak było wówczas, gdy film „produkcyjny" był modelem preferowanym, tak zdarzało się i później, gdy starano się unikać określonych cech tego modelu.

Nie sposób oczywiście przypuszczać, że „Premia" Siergieja Mikaeliana odwróci ciąg niepowodzeń filmów o temacie produkcyjnym. Pozostanie jednak dowodem, że to nie temat decyduje o sukcesie bądź klęsce filmu. Film Mikaeliana zawiera uogólnienia, które wyrastając z określonych wydarzeń nabierają znaczeń istotnej wagi społecznej.

Na wielkiej budowie dzień wypłaty premii przyniósł niezwykłe w skutkach wydarzenia. Brygada majstra Potapowa odmówiła jej przyjęcia. Zwołane w pośpiechu posiedzenie zakładowego komitetu partii próbuje wyjaśnić przyczynę tej decyzji. Trwa zebranie, którego dramatyczności nie przewidzieli ani jego uczestnicy, ani, jeśli poza sferę dzieła samego wyjdziemy, widzowie, którzy film ten przyszli obejrzeć.

Racje i argumenty zbuntowanej brygady zaskakują członków komitetu i dyrekcję. Potapow i jego ludzie nie chcą przyjąć premii, gdyż uważają, że jest ona niewspółmiernie mała wobec faktycznych możliwości uzyskania podstawowego zarobku, który byłby znacznie wyższy, gdyby nie istniejący na budowie bałagan i zła organizacja pracy. To publiczne oświadczenie budzi też nasze, to znaczy widowni, zaskoczenie. Film produkcyjny przyzwyczaił nas do tego, że mówi się w nim głównie o ideologii, o idei pracy i jej społecznej funkcji. Tu mówi się o pieniądzach, o tym, że ludzie za dobrą pracę chcą otrzymać dobry zarobek. Równolegle jednak mówi się o tym, że ludzie chcą dobrze pracować, że razi ich marnotrawstwo możliwości, zła organizacja pracy i nieporządek, widzą konsekwencje tego stanu rzeczy i wyrażają swe poczucie współodpowiedzialności za to, co jest i za to, co będzie.

Racje i argumenty brygady ścierają się z racjami dyrektora i jego najbliższych współpracowników odpowiedzialnych za sytuację na budowie. Dyrektorowi trudno przy tym zarzucić brak kompetencji, energii czy też złą wolę. To, co na budowie się dzieje, jest wynikiem tzw. obiektywnych trudności, których łańcuch jest długi, a praprzyczyna tkwi w pewnych odgórnych decyzjach, które skądinąd słuszne, nie doczekały się odpowiedniego zaplecza organizacyjnego i materiałowego. Ten łańcuch przeciąć chce grupa ludzi, których działanie jest tylko jednym ogniwem, przeciąć na pewno po to, by działo się lepiej. Trudność podjęcia tej decyzji przez kierownictwo zakładu ma znów swój aspekt obiektywny, ma jednak również swój aspekt subiektywny — wymaga wielkiej odwagi, którą nazwać można odwagą moralną.

„Premia" staje się zatem filmem, który przekracza pułap zagadnień organizacyjno-produkcyjnych, mowa w nim o określonej moralności pracy, poczuciu odpowiedzialności za działanie w określonym miejscu procesu produkcyjnego. Tam dokonywać trzeba wyboru nie tylko pomiędzy skutecznym i nieskutecznym działaniem, uczciwą i nieuczciwą pracą, ale także pomiędzy interesem prywatnym i godnością, stanowiskiem i jego utratą. „Premia" jest również filmem ukazującym proces dojrzewania klasy robotniczej — jej świadomości współtworzenia i współgospodarowania, jej pragnienia dobrej pracy i dobrej za nią zapłaty.

Wszystkie te sprawy nie mają w filmie Mikaeliana charakteru szlachetnej, założonej z góry deklaracji i agitacji. Wyrastają z precyzyjnie pokazanej jednostkowej sytuacji, jednostkowych ludzkich reakcji, obdarowane są autentycznością, która pozwala wierzyć i w sytuację i w ludzi. Doskonałość samej realizacji filmowej sprawia zaś, że „Premię" ogląda się jak najznakomitszy film sensacyjny. Dramatyczność zdarzenia tak statycznego, jakim jest zebranie, jest precyzyjna i na poszczególnych jego etapach zaskakująca. Napięcie rośnie jak na dobrym „suspensie". Twórcy filmu zdołali przy tym zindywidualizować i obdarować poszczególne postacie tak różnymi cechami, że każda z nich przykuwa naszą uwagę w równej mierze. Jest zatem „Premia" i świetnym filmem psychologicznym, w którym karty nie zostają przy tym wyłożone od razu. Nasz stosunek do poszczególnych postaci jest dynamiczny, zmienia się w czasie, gdyż ludzi poznajemy powoli, a dobrze. „Premia" zawiera też wiele świetnych, często humorystycznych obserwacji obyczajowych. Wnoszą one do filmu, którego miejscem akcji jest pokoik w baraku na wielkiej budowie, wiedzę o tym, jak i czym żyją ludzie poza pracą, przypominają pewną ukształtowaną przecież obyczajowość pracy, stosunki międzyludzkie w zakładzie pracy. A wszystko to mieści się w czasie trwania pewnej narady.

EWA NURCZYŃSKA

MISTRZ GOSPODARNOŚCI

MILION NA DROBNE WYDATKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Wojciechowski, dzwoni tu i tam, podrzuca dane.

Powstało kilkadziesiąt nowych budynków gospodarczych, inwentarskich, w czynie zbudowano wiaty w Karnkowie i Kadzielinie, po długich tarapatach wzniesiono Dom Ludowy w Toporowie.

Mapa gminy jak rozciągnięta, poszarpana kiszka, warto by zaokrąglić.

Kiszka to duże odległości. Drogi takie, że jak się zarżniesz w błocie lub piachu, to, choćbyś w portki narobił ze złości, nie ruszysz.

W ubiegłym roku rolnicy budowali więc drogi. Wartość czynu społecznego — 8,5 miliona złotych.

Milion nagrody za osiem i pół miliona roboty.

2.

Wartość czynów społecznych i osiągnięć w produkcji rolno-hodowlanej nabiera znaczenia, jeśli bliżej przyjrzysz się wsiom w gminie Głowno.

Przychodzą starzy zdawać ziemię za rentę. Jeden taki „twardy" przyszedł ostatnio i postawił warunek: ziemię dać państwu, nie indywidualnemu, bo on pielęgnował i nie chce, żeby to ktoś zniszczył.

W ubiegłym roku do zasobów PFZ przeszło 202 ha, w tym z urzędu 22 ha.

— Ale nowe decyzje rządu — mówi Wojciechowski — powstrzymują odpływ ludzi od ziemi. Kto pisany na straty, ten odejdzie. Młodzi zostają.

Nawinął się ktoś inny, Jan Zjawiony, syn Józefa z Woli Mąkolskiej. Jest w granatowym garniturze, przygładza długie włosy, poci się. W ręku trzyma wypchaną torbę. Szuka gwoździ i drewna. Huba będzie pod koniec września, są króciaki, na dach dobre. Na króciaki pójdzie papa asfaltowa.

— Dach mógłby być tradycyjny, dwuspadowy — mówię.

— Jak pan widzi, jest kopertowy. Mokro, z piwnicami trzeba iść wysoko, wyglądałoby to jak wieża.

Drewnianą stodołę pokrył eternitem, oborę ma murowaną, pozakładał rynny.

— Brat po studiach pedagogicznych, siostra na drugiej gospodarce, też się buduje. Zostałem na 8,62 ha, bo warunki są niezłe, tylko młodego trzeba długo przekonywać. Mam ciągnik i część zestawu maszyn. Kiedyś czworo ludzi miało co robić, z maszynami dwoje sobie poradzi. Najstarszy syn, czternaście lat, pługa by nie utrzymał, a traktorem pojedzie, żona tak samo. Syna pewnie zostawię na gospodarce. Gdyby trafiła się ziemia, wziąłbym do 30 mórg, bo wtedy opłaca się kłaść w mechanizację. Poszedłbym na spółkę, ale z kim? Skończę budowę, to pomyślę o przybraniu ziemi. Powinni dawać rolnikom, a nie SKR.

— SKR zła?

— Dobra, usługi lepsze niż w kółkach i opłacalne. Sprowadzili kombajn do ziemniaków. W Popowie nie wiedzieli, co to jest. Zasadziłem tą maszyną ziemniaki, półtora hektara, zapłaciem dwieście złotych. Baza SKR na razie pod chmurką, potrzebne warsztaty i mechanicy. I mogliby wypożyczać te droższe maszyny, używane raz w roku, takich nie opłaca się kupować, np. kosiarki rotacyjnej, która kosztuje 60 tys., albo rozrzutniki do obornika.

— Co zrobić z milionem?

— Meliorować, założyć wodociągi, doprowadzić do należytego stanu drogi. Dzieci stoją pod gołym niebem czekając na autobus do szkoły, potrzebne więc wiaty. Można w czynie, murarz też przyjdzie. U nas po czteroklasówce został barak. Zorganizować szkolenie, przyciągnąć młodzież. Sam jeździłem na Przysposobienie Rolnicze do Popowa, dwóch nie przyjęto, bo nie mieli siedmiu klas. Ludzie chcą się uczyć, bo teraz trzeba z głową i ołówkiem. Ja tam mogę nie mieć grosza w kieszeni, byleby coś zrobić...

3.

Mówi: „A jak poszedł król na wojnę" i pyta, kto to napisał. I wyjaśnia, że to o królach i chłopach można przyłożyć do niektórych aktualnych sytuacji. Korpulentny, siwowłosy, błyska srebrnymi plombami.

— Z okopowymi leżą jak Andzia w ogrodzie. Klops. Szereg rolników nie przygotowanych do produkcji własnej paszy. Bo lepiej sprzedać burak cukrowy i kupić paszę. Ale ja się nie zrażam. W województwie miejskim brak loszek. Jak bym miał poświadczenie, dostałbym loszki i knurka ze Skierniewic. Gorzej, że wziąłem kilkaset tysięcy pożyczki na budowę odchowalni warchlaków, a materiałów brakuje. Jak skończy się limit czasu na wykorzystanie kredytu, to znowu leżę.

Tak mówi Stefański z Chlebowic, prezes KG ZSL.

— Hodowli nie ma bez wody — dodaje. — Ale co tam ja. Trzeba zobaczyć, co zrobił Jan Bryk. Sam wybudował odchowalnię i tuczarnię na 200 sztuk z kanalizacją, kojcami i osadnikami, na które zaadaptował dwa kotły parowozowe.

Stefański wierzy, że wykończy swoją odchowalnię.

Prezes ZSL zaprasza sekretarza na końcową wiechę.

Sekretarz podnosi słuchawkę. Dzwonią z mleczarni pytając, czy dostaną zaproszenie na dożynki. Jednocześnie informują, że skup mleka spadnie w sierpniu o 30 tysięcy litrów.

Susza, brak pasz, w hodowli też nieznaczny spadek.

Wojciechowski mówi, że powinienem poznać koniecznie trzydziestoletniego Mariana Marciniaka z Popowa.

Poznałem. Marciniak ma drobną twarz i nieproporcjonalnie duże, spracowane dłonie. Pogodny i elokwentny, ojciec czworga dzieci. Kiedy przed siedmiu laty przejął od ojca dziewięciohektarowe gospodarstwo, ludzie mówili, żeby rzucił to w cholerę, bo się zarżnie na śmierć. Linianą oborę podmyła woda, zawaliła się. Końca z końcem nie związać, urzędnicy rzucali pod nogi stołki. Przyszedł wicher, rozpieprzył stodołę. Chałupa się spaliła i siedzieli pod gołym niebem. Tylko wyrozumiałości dyrektorki Banku Spółdzielczego, pani Dębskiej, mógł zawdzięczać start do poprawy.

Sprzedał dwa konie i kupił z kółka rolniczego ciągnik, który stał w pokrzywach. Bo konie codziennie, nie licząc obsługi, przejadają stówę. Przy młockarni trzeba zatrudnić ośmiu ludzi, postawić jajecznicę i pół litra na łeb. Przy obecnych plonach Wistula nie nadąży z odsiewem i wyrzuca ziarno ze słomą. Tylko Bizon! Jeden po Bizonie dziwił się, skąd tyle ziarna, pewnie ktoś dosypał. Marciniak wsadza żonę na ciągnik z opylaczem, liści buraczanych mniej zgniecionych niż przy pieleniu koniem. Koni nie ma i się żyje.

— Wziąłem kredyt na budowę, ale pieniądze przeznaczyłem na meliorację połowy gruntów. Teraz wziąłem kredyt na remont i buduję. Z półtora hektara zebrałem po melioracji ponad 500 kwintali buraków. Jęczmienia z tego kawałka zbierałem 25 kwintali, teraz 73 kwintale. Potrzebne mi worki, chcę odstawić dziesięć ton jęczmienia i żyta. Z paszą gorzej, mleka zamiast 70 oddaję 50 litrów dziennie. Mam 7 krów, 4 jałówki i 3 maciory.

Zamierza nabyć z kasacji kultywator. Pszczół mu szkoda, dwanaście roi, nie był na zebraniu i nie przydzielili mu cukru, a pszczołom trzeba dać na zimę. Śmieje się, że wiedza popłaca. W ubiegłym roku wygrał gminną i wojewódzką olimpiadę wiedzy rolniczej, doszedł do centralnych półfinałów. Otrzymał poidła, dojarkę i wózek paszowy.

Wojsko, żona, dzieci, budowa. Zaliczył pięć semestrów technikum rolniczego i martwi się, czy po trzech latach przerwy nie będzie musiał zaliczać od nowa.

— Rolnik raz na wozie, raz pod wozem. Pracuje się od świtu do zmierzchu, a w nocy się myśli...

Milion wygrany, do zrealizowania ambitnych planów potrzebne ich dziesiątki.

Mąkolice, Wola, Boczki Domaradzkie to tereny podmokłe, jedna trzecia obszaru gminy, pójdzie więc melioracja.

Najpilniejsze potrzeby: melioracja, wodociągi, drogi i wiaty. Jest sucho — liche plony, słaba hodowla. Za mokro — ludzie nie kupują nawozów, bo i tak spłyną z wodą.

Wojciechowski patrzy na mapę.

— Do Mąkolic 17 kilometrów. Powinno być dziewięciu nauczycieli, a jest trzech. Brak mieszkań, należy wybudować dom nauczycielski. Dzięki pomocy Urzędu Miasta Łodzi otrzymaliśmy przyczepy pekaesowskie i rozwiązaliśmy problem dowozu dzieci do szkół. Powiat miał kilka samochodów, gmina tylko jeden, do dyspozycji naczelnika. W zimie i jesienią służba rolna tłucze się piechotą, rowerkiem albo komarkiem. Lekarze weterynarii tak samo. Łączność telefoniczna kiepska, bo centrala przestarzała, wsie całymi tygodniami odcięte od świata. A przecież liczy się nieraz życie ludzkie, chore zwierzę też ważne, koń kosztuje dzisiaj trzydzieści tysięcy. Jest na co wydać ten milion...

— A w tym roku?

— Tak ciągnąć, żeby w przyszłym roku wygrać kolejny milion.

Jeśli „zaraza" pójdzie od takiego, jak choćby Marciniak, to gmina Głowno może wygrać ten drugi milion.

RYSZARD BINKOWSKI

REPORTAŻ

WYSPA HUMANISTÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

Robotniczego FSC. Ponieważ nie usatysfakcjonowała mnie ta zbyt ogólna wypowiedź postanowiłem odszukać autorów i dowiedzieć się czegoś więcej o humanistach — tej maleńkiej wysepce na morzu ludzi techniki, produkcji i planu. Czego dotyczy ich praca? Jaki jest ich wpływ na życie zakładu? Można by postawić wiele pytań. Wiele też jest nieporozumień związanych z miejscem psychologów, socjologów i pedagogów w zakładach przemysłowych. Czy są faktycznie potrzebni? Popularna opinia jest niestety negatywna. Często słyszy się głosy, że nie wiadomo co z nimi robić, a oni sami nie wiedzą czego chcą, że swój byt zawdzięczają jedynie modzie tzn. że „w dobrym tonie" jest, aby zakład posiadał swojego socjologa czy pedagoga. Kiedyś członkowie załogi zapytani o socjologa odpowiadali:

— „Tak był tu taki jeden z brodą, fajkę palił, kręcił się, coś kombinował... Co się z nim stało? Zwolnił się. Pewnie nie mógł się dogadać z dyrekcją...".

Tyle popularnych opinii, jak w rzeczywistości, w wypadku Starachowic? Zobaczymy.

W zakładach Z 12, nad wejściem do hali montażowej długości ok. 40 m zainstalowano duży wentylator o szybkim wyciągu powietrza. Wentylator ten jest bardzo hałaśliwy, tak, że na stanowiskach pracy w bezpośrednim sąsiedztwie wentylatora robotnice nie mogą spokojnie pracować, szybko się męczą i są stale rozdrażnione.

Pracownice tej hali wielokrotnie interweniowały w kierownictwie technicznym, aby założyć mniejsze wentylatory w kilku środkowych oknach. Interwencje te nie odniosły jednak żadnych skutków. Kierownictwo tłumaczyło robotnicom, że nie ma kredytów na takie urządzenia i że będzie je można założyć dopiero po roku 1976.

Zmęczone hałasem i szybkim ruchem powietrza, robotnice często wyłączają wentylatory, co wywołuje protesty ze strony robotnic zatrudnionych na drugim końcu hali.

Propozycje kompromisowego załatwienia sprawy, jak np. wprowadzenie stałej rotacji stanowisk pracy, spotkały się ze stanowczą odmową ze strony kierownictwa technicznego, które dowodzi, że atmosferę psuje kilka „histerycznych bab" i że wprowadzenie jakichkolwiek zmian jest niecelowe i niepotrzebne. W rezultacie popsuła się atmosfera wśród załogi, kilka dobrych pracownic wymówiło pracę, u pozostałych wzrosła liczba zachorowań, zanotowano także wypadek przy pracy.

W tej sytuacji rada zakładowa zwróciła się do dyrektora naczelnego z prośbą o wejrzenie w tę sprawę i podjęcie kroków zaradczych. Dyrektor naczelny zwołał u siebie naradę dla rozpatrzenia sprawy. W naradzie biorą udział następujące osoby: dyrektor naczelny, dyrektor techniczny, sekretarz POP, kierownik oddziału montażu, majster na hali montażowej, delegatka robotnic skarżących się na złe warunki pracy, przewodniczący oddziałowej rady zakładowej, kierownik działu kadr, dział Analiz Społecznych AP.

Inscenizacja „Konflikt o warunki pracy"

Mówi pani pedagog:

„Jest to jedna z metod naszej pracy z ludźmi. Takie psycho- i socjodramy stosujemy np. podczas kursów na tytuł mistrza w zawodzie. Ludzie szybko „wchodzą" w fikcyjne sytuacje reagują żywo i spontanicznie. Istnieje wtedy większa możliwość poznania problemów nurtujących pracowników, widać ich postawy i oceny. To pomaga i ludziom i nam w nawiązaniu bezpośrednich kontaktów. Raz służy do tego instrukcja napisana na maszynie, innym razem zestaw przeźroczy".

Nasza rozmowa odbywa się na niziutkim poddaszu, małego drewnianego budynku, stojącego na terenie zakładu. Są to pomieszczenia Działu Analiz Społecznych. W dyskusji udział biorą: kierownik Działu **mgr Wanda Kołodziejczyk** — socjolog, **mgr Małgorzata Rasch-Jeżewska** — pedagog oraz **mgr Karpowicz** — socjolog stażysta.

— Nasza placówka istnieje już od 1966 r. Jak pan widzi ciasno tu u nas i brak wielu potrzebnych rzeczy, przydałaby się chociaż maszyna do liczenia, niezbędna przy badaniach statystycznych. Jak na tak duży zakład trzy osoby to stanowczo za mało. Zmuszone jesteśmy ograniczać nasze badania do kilku wydziałów. Są to więc badania fragmentaryczne i z tej racji częściowo powierzchowne.

— „Przejdźmy może do spraw bardziej szczegółowych. Często mówi się o zmęczeniu monotonią i automatyzacją pracy. Czy w wypadku naszego zakładu występuje to zjawisko?"

— Trudno w takich przypadkach coś zmienić. Można stosować częste przerwy lub zmianę stanowisk pracy. Teoretycznie jest to możliwe, ale w praktyce zaczynają się problemy. Pracownik zmieniający stanowisko musi otrzymać taką samą płacę, jak na poprzednim, a to nie zawsze jest takie proste. Majstrowie bardzo się przed tym bronią. Sami pracownicy też nie chcą się uczyć czegoś nowego, przyzwyczajać do zmienionych warunków pracy. Najtrudniej jest z ludźmi starszymi, którzy pracują na jednym stanowisku od kilkunastu lat.

Kiedyś pytaliśmy pracowników, czy wiedzą jak się nazywają części, które wykonują i do czego służą — wielu ludzi nie wiedziało, znali tylko symbol literowy. Z tym wiąże się także brak wiedzy o tym, jak ich niedokładność w pracy może wpływać na funkcjonowanie samochodu. Jest sporo spraw od wielu lat nie do załatwienia. Np. pracownicy dojeżdżający do FSC codziennie z pobliskich wsi czekają nieraz na autobus godzinę lub dwie. Stąd częste spóźnienia. Jak do tej pory nie można dojść do porozumienia z PKS.

Do naszej rozmowy włącza się na chwilę pan **Wiesław Borcuch**, który jest mistrzem do spraw adaptacji społeczno-zawodowej młodzieży.

— Wprowadzono tę funkcję od niedawna — kole ona w oczy dyrekcję. Na początku domagano się od nas wyliczenia wartości naszej pracy w złotówkach! Mam pod opieką 250 młodych ludzi. Przez moje ręce przechodzą wszystkie ich sprawy: ustalenie okresu stażu: kwalifikacji, sprawy dyscyplinarne itd. Od kiedy pełnimy swoje funkcje znacznie zmniejszyła się fluktuacja wśród młodzieży. Młodzież chyba najbardziej docenia moją pracę. Wiedzą, że reprezentuję ich interesy. Ostatnio była taka sprawa z awansowaniem — gdybym nie „wychodził" tego, chłopcy do tej pory nie dostaliby podwyżki.

Rozmawialiśmy do tej pory o sprawach marginesowych. Jaką sferą problemów zajmuje się przede wszystkim wasza placówka?

— Nasze badania prowadzone na terenie zakładu są dość rozległe. Pierwsza sprawa to badania opinii publicznej. Dotyczyła ona między innymi takich tematów jak:

Opinie nowo przyjętych pracowników o zadowoleniu z pracy i przebiegu procesu adaptacji. Opinie mieszkańców hoteli robotniczych o warunkach mieszkania i odpoczynku w hotelach. Zabieramy się teraz do opracowywania systemu ocen pracowników.

Druga część naszych zainteresowań to współpraca z innymi wyspecjalizowanymi komórkami. I tak np. od wielu już lat utrzymujemy stałe kontakty z gazetą zakładową. Zresztą z obopólną korzyścią. My piszemy artykuły do gazety, oni reklamują nasze wyniki badań i zachęcają do współpracy z nami. Druga sprawa to nasze kontakty z poradnią społeczno-zawodową na terenie miasta. Oni zajmują się dziećmi, my rodzicami. W ramach kursów na tytuł mistrzów w zawodzie prowadzimy zajęcia z socjologii i psychologii pracy. Poza tym współpracujemy z Radą Zakładową i jesteśmy często doraźnie powoływani przez dyrekcję do rozmaitych zadań np. socjolog opiniuje podania starających się na studia, pedagog kwalifikuje kandydatów na mistrzów itd. Zasiadamy na stałe w takich komisjach, jak Komisja Zmiany Zatrudnienia w związku ze schorzeniami. Pomoc jedynym żywicielom rodzin i kilku innych.

— „Jaki jest wasz status na terenie zakładu, jakie macie uprawnienia?".

— „Podlegamy bezpośrednio dyrektorowi d/s pracowniczych. Z tym, że nasz głos jest jedynie głosem doradczym. Nie mamy żadnego wpływu na praktyczne wykonanie postulatów wynikłych z naszych badań. Nie jest to najlepsza sytuacja. Jeżeli specjalista chce czegoś powinien ponosić za to odpowiedzialność i mieć bezpośredni wpływ na wykonanie. Nie mamy żadnej gwarancji, że nasze postulaty zostaną uwzględnione, chyba że robimy coś na zamówienie dyrekcji lub włączamy się do jakiegoś ogólnego zadania narzuconego zakładowi z zewnątrz. Rzadko nas ktoś kontroluje, bardzo często szukamy sobie sami tematów. Dyrekcja podpisuje wykonanie tych prac nie zawsze pytając jakie są wyniki. Nie ma forum, na którym zdawałybyśmy sprawę z tego co robimy. Mogłybyśmy na dobrą sprawę nic nie robić, byle tylko co jakiś czas podrzucić dotyczący nas fragment do referatu czy sprawozdania. Nie wszędzie nas jeszcze znają na terenie zakładu, ale tam gdzie znają, mamy wielu przyjaciół i ludzie chętnie z nami współpracują. Wypełniają ankiety, przychodzą z różnymi problemami. Wiedzą, że jeżeli nie pomożemy, to przynajmniej cierpliwie wysłuchamy. Ludzie bezpośrednio przy produkcji są bardzo zmęczeni, często wyczerpani złą atmosferą panującą na niektórych wydziałach, są tacy, którzy nie tylko nie mieli wolnej soboty w ciągu ostatniego roku, ale nawet wolnej niedzieli. Potrzeba im kogoś, aby się wyżalić. Czasem przychodzą o pomoc przy zmianie miejsca pracy. Innym razem mistrzowie przyprowadzają swoich niesubordynowanych podopiecznych i jesteśmy często ostatnią instancją, która ma orzec czy jeszcze z nimi można wiązać nadzieje wychowawcze, czy też nie. Zazwyczaj możemy pomóc nie tyle dzięki formalnym uprawnieniom, co dzięki dobrym stosunkom naszej komórki z kadrami czy dyrekcją".

Koniec rozmowy. Oczywiście nie sposób omówić wszystkich problemów. Wychodzę z jednym głębokim przeświadczeniem. Mówiąc o wykonanych planach, wysokiej jakości i rzetelnej pracy, zapominamy zbyt często o człowieku, który przecież te wszystkie wartości tworzy. Nie jest to problem tylko Starachowic. Człowiek musi mieć w pracy dobrą atmosferę, odczuwać życzliwość i zrozumienie, że swoimi problemami nie powinien nigdy pozostać sam. To czy uda się w zakładzie pracy taką atmosferę wytworzyć zależy w dużej mierze od ludzi, z którymi tę rozmowę przeprowadziłem — od humanistów. Ale muszą oni być wyposażeni w odpowiednie uprawnienia i mieć możliwości wprowadzania w życie wyników swoich badań, a jednocześnie powinni być za to odpowiedzialni przed szerszym forum na terenie swoich zakładów pracy.

MAREK MILLER

DRUGA ŚWIATOWA

PLATYNOWY TROP

ANDRZEJ BLAJER

Na początku 1944 roku dyrektor FBI, J. Edgar Hoover, otrzymał alarmujący raport z Południowej Ameryki zawierający ostrzeżenie, iż czołowym agentom SIS w Argentynie grozi poważne niebezpieczeństwo zaaresztowania przez policję polityczną prezydenta Pedro Ramireza, którego rząd, jeśli otwarcie nie manifestował pronazistowskich sympatii, to był w każdym razie entuzjastycznie antyamerykański. Pięciu informatorów SIS było przetrzymywanych przez argentyńską policję i istniała możliwość, iż mogli oni w czasie śledztwa ujawnić nazwiska oraz adresy agentów SIS.

Stosunki dyplomatyczne między Stanami Zjednoczonymi i Argentyną pogorszyły się w tym okresie do tego stopnia, iż ich zerwanie wydawało się być bardzo prawdopodobne. Argentyna odmówiła bowiem podjęcia wspólnej akcji z sąsiednimi krajami, których sympatie były po stronie aliantów, w celu likwidacji wpływów Trzeciej Rzeszy w Ameryce Południowej. Toteż Departament Stanu ostrzegł FBI, że powinno być w każdej chwili przygotowane na zerwanie z Argentyną.

W tej sytuacji było dla USA sprawą niezwykle istotną utrzymanie w Argentynie tajnych agentów, bowiem państwo to stało się centrum operacji szpiegowskich nazistów. Tracąc kontrolę nad działalnością wywiadowczą Rzeszy w tym kraju Amerykanie ryzykowali poważne osłabienie skuteczności operacyjnej swej sieci wywiadowczej na zachodniej półkuli.

Autor raportu nadesłanego Hooverowi donosił między innymi o faktach torturowania agentów SIS w Argentynie, wskazując, że nie powinno się ignorować obecności agentów niemieckich w tym kraju i ich współpracy z jego władzami. Sugerował przy tym, iż zerwanie stosunków dyplomatycznych spowodowałoby pozostawienie wszystkich Amerykanów w Argentynie bez dyplomatycznej ochrony i jeszcze gorsze ich traktowanie.

Z przedkładanych mu meldunków Hoover wiedział, że sami agenci są nawet gotowi zaakceptować to niebezpieczeństwo, wiedział jednak również, że jako ich szef jest zmuszony kierować się zasadą potencjalnego zysku przy minimalnych stratach. I Hoover podjął decyzję. Pięciu agentów, którym groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo skierowano do wykonywania innych zadań. Wkrótce z Buenos Aires nadeszła depesza następującej treści: **„W NAWIĄZANIU DO RADIOGRAMU 772. WSZYSTKIE KONIECZNE PRZYGOTOWANIA DO WYJAZDU 241, 243, 582, 361 I 363 DO MONTEVIDEO SĄ W TOKU..."**

Jeden po drugim agenci SIS wymykali się więc z Buenos Aires, korzystając ze zorganizowanych poprzednio przez siebie podziemnych kanałów przerzutowych. „Crandall's Navy" przewiozły ich następnie przez Rio de la Plata do zaprzyjaźnionego Urugwaju. Dla tych pięciu walka z wywiadem hitlerowskim w Argentynie oczywiście się zakończyła, ale ich miejsce zajęli inni i niebezpieczna gra toczyła się nadal.

Niekiedy przybierała formę bezkrwawej wojny ekonomicznej. Wywiad USA pilnie zbierał bowiem wszystkie informacje, które dotyczyły faktów współpracy poszczególnych przemysłowców południowoamerykańskich lub ich firm z III Rzeszą. Na polecenie rządu Stanów Zjednoczonych została na tej podstawie sporządzona tak zwana „czarna lista", która stała się poważną bronią ekonomiczną w rękach aliantów, dzięki czemu dość istotnie ostudzono zapały wielu przedsiębiorstw i przedstawicielstw handlowych do kontynuowania współpracy gospodarczej z Niemcami. Niektóre firmy starały się oczywiście uniknąć embarga na swoje towary. Między innymi pewne wenezuelskie towarzystwo kontrolowane przez niemiecki koncern I.G. Farbenindustrie znalazło się w dość trudnej sytuacji spowodowanej kłopotami z dostawą produktów farmaceutycznych. Bez nich konkurent firmy niewątpliwie przejmie jej rynek. Toteż, aby się jakoś ratować, zakupiono potrzebne towary za ponad 23.000 dolarów w Argentynie, które następnie miały zostać dostarczone drogą morską (pod fałszywym szyldem) do Wenezueli. Agent SIS w Caracas poinformował o tym ambasadę USA, która przekazała odpowiednią informację wenezuelskiej policji. Kiedy więc ładunek dotarł na pokładzie s/s „Rio Grande" na miejsce przeznaczenia, został zarekwirowany przez amerykańskie władze celne działające z upoważnienia aliantów.

Z chwilą, gdy wojna wywiadów przeniosła się z Brazylii na terytorium Chile, co nastąpiło wiosną 1942 r., SIS zgromadziła cały szereg informacji dotyczących siatki szpiegowskiej posługującej się nadajnikiem o sygnale wywoławczym PYL. Ustalono, że z chwilą rozpoczęcia jej działalności, kierował nią generał Friedrich Wolf, niemiecki attaché wojskowy w Chile, zaś po jego odwołaniu do Argentyny funkcję tę przejął major Ludwig von Bohlen. Ten ostatni był jeszcze weteranem I wojny światowej, a na dodatek urodził się w Chile i piastował w latach czterdziestych poważne stanowisko w którymś z ministerstw. Dzięki temu nawiązał liczne znajomości w kołach rządowych i to jeszcze zanim został zwerbowany do pracy w wywiadzie hitlerowskim. **Radiostacja PYL rozpoczęła swoją działalność na początku 1941 r. stając się punktem przekaźnikowym i centralą dyspozycyjną dla wielu agentów operujących wzdłuż wybrzeża Pacyfiku od Chile do Meksyku. Nadajnik stacji został ukryty w małym domku na opuszczonej farmie pod Quilpue, niedaleko Valparaiso i przez wiele misięcy funkcjonował nie napotykając żadnych trudności. Ale SIS od pewnego czasu zaczęła baczniej obserwować działalność PYL. Już po zdemaskowaniu brazylijskich siatek szpiegowskich SIS zdobyła konkretne dowody odnośnie radiostacji, wobec czego Departament Stanu USA dokonał interwencji w chilijskim MSZ.** W rezultacie stacja PYL zamilkła, ale władze Chile nie podjęły przeciwko członkom siatki żadnych kroków, mimo protestów ze strony rządu Stanów Zjednoczonych. Wreszcie, kiedy zdecydowano się to uczynić, okazało się, że większość członków siatki zdążyła już zbiec do Argentyny. Afera z radiostacją nie pozostała bez wpływu na stosunki chilijsko-niemieckie, które z początkiem 1943 roku nieco się pogorszyły. Lecz już w kwietniu FBI i stacje pelengacyjne FCC zlokalizowały w okolicach stolicy kraju, Santiago, nową radiostację o haśle wywoławczym PQZ.

SIS przystąpiła więc znowu do pracy. Tym razem jednak miała do czynienia z najlepiej zorganizowaną siatką wywiadowczą w Ameryce Południowej, która **działała nie tylko w Chile, ale również na terytorium Peru, Boliwii i Brazylii. Jej założycielem był właśnie von Bohlen, który pozostawał w Chile do września 1943 roku. Kiedy otrzymał polecenie powrotu do Niemiec, przekazał kierownictwo i fundusze na dalszą działalność w wysokości 200.000 dolarów jednemu ze swych pomocników Bernardo Timmermanowi.**

W tym czasie SIS zdobyła już spore doświadczenie w prowadzeniu akcji kontrwywiadowczych i punkt po punkcie rozszyfrowała pracę nadajnika PQZ. Zdobyte informacje przekazywano Departamentowi Stanu, który z kolei interweniował u władz Chile. Chcąc nie chcąc policja chilijska musiała podjąć akcję przeciwko niemieckim agentom. I tak w lutym 1944 r. ślady doprowadziły do Timmermana. Siatka PQZ przestała istnieć.

Kolejna porażka zmusiła rezydentów Abwehry w Ameryce Południowej do wyciągnięcia wniosków z tej sytuacji. Okazało się wówczas, iż główną przyczyną fiaska był raport pozostawiony przez majora von Bohlena: „Doświadczenia uzyskane z procesu w Valparaiso". Było to niezwykle staranne studium sporządzone tuż po likwidacji radiostacji PYL. Został on przechwycony przez agentów SIS i okazał się być kluczem do lokalizacji głównych kwater szpiegów niemieckich. Walka na tajnym froncie toczyła się jednak nadal i chwilowe porażki Abwehry bynajmniej nie oznaczały, że przeciwnik staje się niegroźny. Najlepszym przykładem ilustrującym realne niebezpieczeństwo, jakie wciąż zagrażało interesom aliantów ze strony wrogich radiostacji szpiegowskich, była sprawa liniowca „Queen Mary". Ów wielki transatlantyk brytyjski pełnił w tym czasie służbę jako transportowiec wojska, toteż nic dziwnego, że stał się wymarzonym celem dla hitlerowskich U-Bootów.

6 marca 1942 „Queen Mary" zawinął do Rio de Janeiro z 10.000 żołnierzy na pokładzie i tego samego dnia radiostacja pracująca dla FBI przechwyciła radiogram wysłany przez nazistowską stację o kryptonimie CIT: „Queen Mary" przybyła dziś około godz. 10.00".

Dwa dni później nadajnik CEL poinformował stację nadawczo-odbiorczą ALD w Hamburgu: „Queen Mary" wypływa w rejs 8 marca, ok. godz. 18.00 czasu lokalnego". Zaś następnego dnia operator radiostacji CIT wysłał w eter depeszę: „Wraz z „Queen Mary" przegra Churchill... Powodzenia".

Tak więc podwodni korsarze już byli w pogotowiu, zaalarmowani, iż „Queen Mary" samotnie, bez konwoju przemierza Atlantyk. Tak smakowity kąsek zdarza się nadzwyczaj rzadko, a poza tym — ładunek. Jego strata zadałaby aliantom dotkliwy cios. Nad transportem zawisło ogromne niebezpieczeństwo. Toteż SIS musiała działać błyskawicznie. Treść przechwyconych radiogramów natychmiast przekazano do Departamentu Stanu, kwatery głównej wywiadu marynarki i wojsk lądowych oraz FBI. Na ich interwencję policja brazylijska przystąpiła do dokonania aresztowań szeregu agentów niemieckich. Kiedy 10 maja jej funkcjonariusze wkroczyli do mieszkania inżyniera Josefa Starziczny'ego, wśród dokumentów pedantycznie prowadzonego archiwum znaleziono również kopię depeszy wysłanej przez CIT, a dotyczącej przebiegu rejsu „Queen Mary". Ambasada USA w Rio de Janeiro przekazała zaraz ów tekst przedstawicielstwu dyplomatycznemu Wielkiej Brytanii. Czy aby nie za późno? Bo oto 15 marca 1942 r. serwis włoskiej agencji prasowej Stefani przyniósł następującą informację:

„Z kół zbliżonych do argentyńskiej marynarki podano, iż brytyjski liniowiec pasażerski „Queen Mary", który opuścił przed kilkoma dniami Rio de Janeiro z transportem około 10.000 żołnierzy amerykańskich na pokładzie i popłynął w nieznanym kierunku, został storpedowany. Statek odniósł ciężkie uszkodzenia i podjął próbę dopłynięcia o własnych siłach do brytyjskiej bazy morskiej na Falklandach".

Była to jednak nieprawda. „Queen Mary" udało się bowiem uniknąć nieprzyjacielskich torped dzięki ostrzeżeniu na czas przez SIS, która przechwyciła depesze hitlerowskich radiostacji.

W tym okresie Specjal Intelligence Service liczyła około 360 agentów. W dziewięciu spośród dziesięciu republik południowoamerykańskich pełnili oni funkcje doradców technicznych policji i kontrwywiadu. Roztaczali również opiekę nad ok. 150-cioma zakładami przemysłowymi i użyteczności publicznej, które uchodziły za szczególnie ważne z punktu widzenia wojennego wysiłku aliantów. Ale żadna z form działalności SIS nie przyniosła większych korzyści niż jej aktywność na polu walki z przemytem platyny, metalu wyjątkowo cennego dla produkcji wojennej sojuszników.

Jedynie pięć krajów na świecie produkowało wówczas platynę — Kolumbia, Kanada, Stany Zjednoczone, ZSRR i Afryka Południowa. Hitlerowska machina wojenna dotkliwie odczuwała brak tego metalu, toteż naziści czynili wszelkie możliwe starania, aby uzyskać go od Kolumbii. Był to bowiem jedyny kraj spośród wydobywających platynę, z którym Rzesza w 1942 roku nie znajdowała się w stanie wojny. Większość produkcji tego kruszcu pochodziła z Choco Pacifico Company, zaś pozostałą część (ok. 1/3 ogólnego wydobycia) uzyskiwano dzięki producentom indywidualnym. I w nich właśnie Niemcy dostrzegli swoją szansę. Otóż w latach 1936—1941 pewien Niemiec nazwiskiem Theodor Barth zajmował się skupowaniem platyny od drobnych producentów. Interes przybrał niebawem spore rozmiary i w rękach Bartha znalazło się wiele uncji białego metalu. Nic dziwnego, płacił on bowiem cenę o 20 do 30 procent wyższą od oficjalnej ceny rynkowej. Ale w czerwcu 1941 r. monopol Niemca uległ likwidacji z powodu zamrożenia przez USA funduszy Rzeszy na ten cel. Wówczas przyszła kolej na przemytników.

Cena funta platyny na czarnym rynku wzrosła czterokrotnie, a handel nią przybierał coraz większe rozmiary. Tymczasem Stany Zjednoczone zawarły z rządem kolumbijskim porozumienie, na mocy którego cała produkcja platyny, pochodząca tak z Choco Pacifico Company jak i z rąk prywatnych, miała być sprzedawana USA. Jakkolwiek nie było żadnych problemów z nadzorowaniem produkcji uzyskanej w Choco, to kontrola wydobycia platyny przez drobnych producentów stanowiła trudność niemal nie do przezwyciężenia, tym bardziej, że wszyscy oni byli jak najbardziej zainteresowani w uzyskaniu najwyższej ceny za ten szlachetny kruszec. Toteż pomimo, iż rząd zagroził karą ciężkiego więzienia za sprzedaż platyny na wolnym rynku, czarnorynkowy handel kwitł coraz bardziej. Władze były wręcz bezsilne wobec takiego stanu rzeczy. I oto znowu do akcji wkroczyła SIS.

Wkrótce też okazało się, że ślady z głębi dzikiej kolumbijskiej dżungli wiodą wprost do wspaniałych luksusowych willi położonych na kalifornijskim wybrzeżu.

Pewnego marcowego dnia 1943 r. operator radiostacji FBI w Quito (Ekwador) nadał do kwatery głównej, w Waszyngtonie obszerną depeszę zawierającą liczne szczegóły dotyczące osób prawdopodobnie trudniących się przemytem kolumbijskiej platyny. Konkretnie chodziło o Harolda Ebury, obywatela brytyjskiego i jego pomocnika, bliżej nie znanego Austriaka, który często przyjeżdża do Ekwadoru rzekomo w celu handlu pszenicą. Natychmiast po odebraniu alarmującego sygnału w centrali FBI postanowiono sprawdzić ich dossier. Okazało się wówczas, że Ebury figurował już w ich archiwum. Swego czasu, jeszcze przed wojną, przyjechał on do Seattle z poważną ilością japońskiej waluty, którą wysłał następnie do Argentyny. Twierdził, że jest międzynarodowym bankierem, lecz Brytyjczycy współdziałający z policją amerykańską określili go jako osobnika podejrzanego o przemyt.

Agentom SIS w Quito polecono zatem, aby bacznie obserwowali każdy krok fałszywego bankiera oraz jego południowoamerykańskich wspólników, które to ślady, jak się spodziewano, powinny naprowadzić na trop sporej siatki przemycającej kolumbijską platynę via Ekwador do Argentyny. Krok po kroku uzyskiwano kolejne informacje i niebawem okazało się, że ostatnim członem organizacji jest sklep krawiecki przy ulicy Florin w Buenos Aires. Ustalono, że właściciel sklepu odebrał kablogram od Ebury'ego, który wzywał go do Quito. Tymczasem Ebury żył sobie spokojnie Kalifornii i będąc, jak mu się zdawało, poza wszelkimi podejrzeniami, kierował akcją organizacji w Ameryce Południowej. Ale agenci SIS poznali już trasy przerzutów platyny śledząc przemytników, którym pozwolili nawet sprzedać towar, aby dowiedzieć się, kto jest kupcem. Tym ostatnim była, jak się okazało, pewna niemiecka firma. Mając więc w ręku wystarczające dowody, funkcjonariusze FBI pojawili się 17 lipca 1943 roku u Ebury'ego w jego kalifornijskiej willi na półwyspie Monterey. Początkowo Ebury stwierdził, że nic mu o przemycie nie wiadomo, jednak przyciśnięty do muru zdecydował się powiększyć prawdę. Z jego relacji wynikało, iż w okresie swej działalności przeszmuglował do Argentyny około pół tony platyny. Przyznał, że posługiwał się w swojej korespondencji pewnym kodem, zaprzeczył jednak, iż platyna była przeznaczona dla Rzeszy i twierdził jakoby nie popełnił niczego, co byłoby wymierzone przeciwko USA. W rezultacie skazano go na karę 18 miesięcy więzienia za posługiwanie się w depeszach zakodowanymi nazwami.

Choć sprawa Ebury'ego wydawała się być zamknięta, to nadal pozostawał otwarty problem przemytu platyny, tym bardziej, że przy tej okazji ujawniono 19 nowych przypadków szmuglu tego tak cennego kruszcu. W dużej mierze przyczyniły się do tego zeznania Ebury'ego (stąd pewnie tak niski wyrok), które pozwoliły agentom SIS na rozpracowanie całej organizacji. Dzięki pomocy ze strony prezydenta Kolumbii, Alfonso Lopeza, w 1944 roku kontrwywiad amerykański mógł przystąpić do ostatecznej rozprawy z przemytnikami. Przede wszystkim cały kraj został podzielony na cztery strefy operacyjne, do których skierowano specjalnie przeszkolone grupy agentów. Penetrowano zarówno niedostępne rejony dżungli i Andów, jak i gęsto zaludnione tereny kraju. Zadanie nie było łatwe, bowiem siatka była dobrze zorganizowana i posiadała sprawnie działający system alarmowy. Jedna z grup operująca w dżungli zatrudniała jako kuriera pewnego Hiszpana, kierowcę ciężarówki. Agent SIS, nazwiskiem George Stevens, postanowił się z nim skontaktować. **„Kiedy wszedł — wspomina Stevens — z miejsca wyłożyłem karty na stół. Powiedziałem, iż dekretem rządu kolumbijskiego każdy, kto przemyca platynę, zostanie aresztowany lub przekazany odpowiednim władzom alianckim. Zaproponowałem, że może tego uniknąć, jeśli zgodzi się na współpracę z nami. Człowiek ten wyraził zgodę na nasze warunki i podjął się nadal pracować w charakterze kuriera, aby nie budzić podejrzeń swych dotychczasowych szefów. Wkrótce mieliśmy w ręku całą siatkę".**

Tak oto dzięki tym i podobnym akcjom agentów Specjal Inteligence Service udało się aliantom dość istotnie pokrzyżować liczne plany krajów Osi, a zwłaszcza III Rzeszy, jakie wiązały one w okresie wojny z kontynentem południowoamerykańskim.

PLASTYKA

ŚWIAT RZECZYWISTEJ WYOBRAŹNI

Tegoroczne, VI Międzynarodowe Biennale Grafiki w Krakowie stało się manifestacją możliwości wykorzystania fotografii w pracy graficznej. Dla większości nadesłanych prac źródłem inspiracji, jak również punktem wyjścia procesów technologicznych był obraz fotograficzny. Pokaz, będący wyborem prac zakwalifikowanych przez jury Biennale, dał świadectwo trwałego wejścia fotografii do współczesnego warsztatu artystycznego. Fotografia przestała być kopciuszkiem sztuk plastycznych.

Masowość zjawiska posługiwania się przez artystów fotografią zwróciła dawno już uwagę krytyków sztuki. Kilku z nich zorganizowało swoje pokazy — propozycje towarzyszące tegorocznemu Biennale i w sposób nie zaprogramowany, nie kontaktując się między sobą — poświęcili je właśnie zagadnieniu wykorzystania fotografii w twórczości artystycznej. Rozszerzyli oni nieco zakres tych wystaw poza granice samej grafiki na zjawiska, w których element gotowego obrazu fotograficznego został wyeliminowany w pracach przy zachowaniu jedynie tego, co można określić mianem „myślenia fotograficznego". Tak więc można by sądzić, że synonimem tego co nowoczesne, współczesne w dziedzinie sztuk plastycznych jest umiejętność wykorzystania fotografii. Nie brak było oczywiście na Biennale dowodów i na takiego typu rozumowanie.

Świetną okazję odpowiedzi na pytanie jak jest naprawdę z fotografią w sztukach plastycznych stworzyło łódzkie Muzeum Sztuki prezentując w oparciu o przykłady samej tylko grafiki wystawę pn. „Świat rzeczywistej wyobraźni".

Jest ona odrębnym, samodzielnym pokazem, ale jednocześnie koresponduje doskonale z jedną z wystaw towarzyszących Biennale krakowskiemu — mianowicie pokazem przygotowanym przez Jürgena Weichhardta z RFN, stanowiącym niejako klucz zagadnienia „fotografia a sztuka". Do 22 prac graficznych dołączył Weichhardt ich pierwowzory — inspiracje fotograficzne, ukazując za pomocą tak prostego zabiegu możliwości wyboru, zastosowania i opracowania fotografii w technikach graficznych. Wystawa łódzka niejako dopełnia ten pokaz, dając wyraźny pogląd na miejsce fotografii we współczesnej twórczości artystycznej. O ile jednak krakowska wystawa miała charakter niemal laboratoryjnego pokazu różnorodności technik graficznych i ich zbliżenia do fotografii, mniejszą wagę przywiązując do aktu wyboru kreacji — o tyle wystawa w Muzeum Sztuki w Łodzi pomijając stronę techniczną pokazuje także różnorodne sposoby użycia fotografii.

Od prac zaangażowanych politycznie i społecznie, pop-artowskich „collages" operujących cytatami, grafik Kitaja, Tilsona, Miro, Kujawskiego, poprzez nastrojowe, liryczne, kolorystycznie wyciszone prace Bielawskiego, Aoyamo, Raimo — aż po dokumentalne pozbawione niemal plastycznego komentarza i autotematyczne struktury wynikające z procesu rejestracji fotograficznej jak np. prace Bertiniego, Daviesa, Kapera, Krzywobłockiego, Spacala i innych. Grafiki pochodzą z różnych lat i reprezentują wszystkie niemal koncepcje twórcze od pop-artu po współczesne, wyrosłe z konceptualizmu, tendencje w sztuce. Wystawa stwarza więc także okazję do obserwowania różnorodnych postaw artystycznych. Jej założeniem było pokazanie możliwie najszerszego wachlarza procesów twórczych, podczas których rzeczywistość odczytana za pośrednictwem fotografii (niejako obiektywna, dla wszystkich łatwo czytelna) zostaje poddana subiektywnemu komentarzowi zależnemu jedynie od plastycznej imaginacji i intelektu twórcy.

Fotografia staje się współczesnym środkiem wyrazu dla tych artystów, którzy w swej twórczości nie zrezygnowali z konkretów rzeczywistości. Warto na zjawisko to, coraz bardziej powszechne, zwrócić szczególną uwagę.

JANUSZ GŁOWACKI

Wojciech Krzywobłocki — „Ziemia"

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

O TEATRZE INTEGRALNYM

Od pewnego czasu zagadnienia teatru operowego stały się centralnym punktem dyskusji także w środowisku twórców teatru, filmu, telewizji. Obok teoretyków, którzy notują fakty, grupują je w całościową strukturą, kreśląc wizje przeszłości, teraźniejszości i przyszłości opery, podejmują dyskusję także praktycy, którzy dotąd tylko uświetniali widownie teatrów operowych, bowiem pierwej jest się widzem niż reżyserem — i widzem pozostaje się przez całe życie. Oto owi widzowie reżyserzy, jak Visconti, Zeffirelli, Strehler, Rennert, Bergman, Polański trafiają do opery, nieprzypadkowo zresztą, trafiają bowiem z określonymi propozycjami inscenizacyjnymi, aby „zbudować rzeczywisty dramat na podstawie absolutnej muzyki".

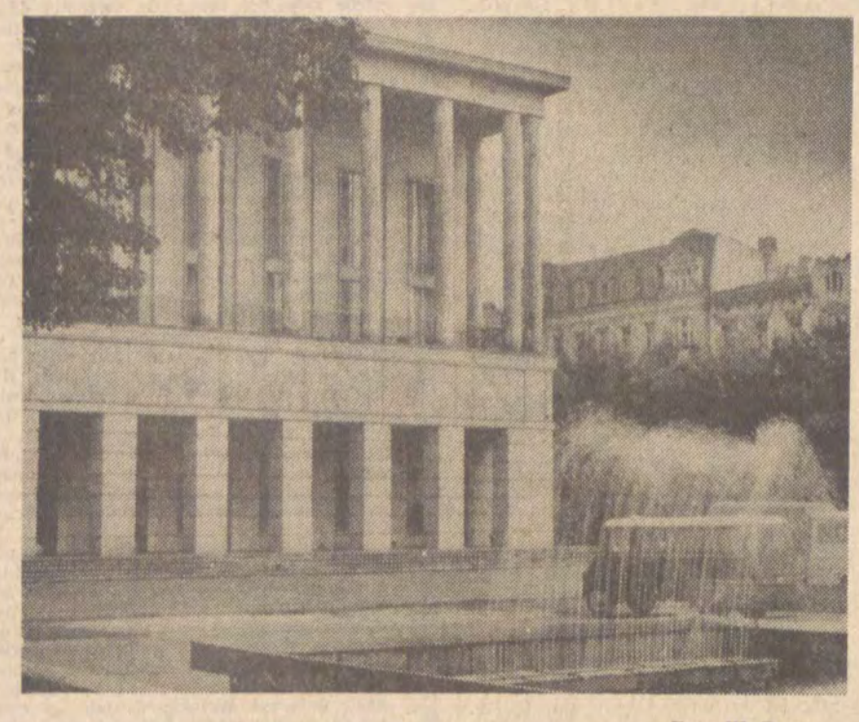

Fot.: W. Parys

Dramat — jako termin budzi tu pewne zastrzeżenia. Otóż z punktu widzenia specjalnej formy opery, jej zwolnionego tętna zdarzeń, „statycznej dynamiki", struktury postaci, niektórzy teoretycy skłonni są zastąpić określenie „dramat" określeniem „dźwiękowa ewokacja dramatu", inni „poematem lirycznym", jeszcze inni „protokołem muzycznym".

Jednak nie w terminologii tkwi problem. „Opera musi być rozpatrywana na innej płaszczyźnie niż dramat muzyczny. Na innej również płaszczyźnie musi być realizowana" — pisał Bronisław Horowicz.

Tego samego zdania jest kierownictwo Teatru Wielkiego w Łodzi, które w swoich zamierzeniach oscyluje ku teatrowi integralnemu. Model taki, acz wieloznaczny, można wyostrzyć poprzez przywołanie nazwiska Waltera Felsensteina, który, najogólniej ujmując, kreuje teatr syntetyzujący dramaturgię i muzykę, aktorstwo i reżyserię. Model taki zmusza wreszcie do stawiania inscenizacji wielkich wymagań i rozległych umiejętności warsztatowych i twórczych. Zmusza teatry operowe do penetracji środowiska reżyserów, których teatr muzyczny interesuje i którzy potrafią ogarnąć i podporządkować idei twórczej rozległą machinę muzyczno-baletowo-wokalno-aktorską.

„Dziś opera to także problem nowoczesnego planowania i zarządzania" — zauważył Aleksander Bardini, jeden z nielicznych reżyserów dramatu, dla których teatr operowy stał się już dawno terenem doświadczeń artystycznych. Kierownictwo łódzkiego Teatru Wielkiego podjęło już rozmowy z Aleksandrem Bardinim, Kazimierzem Dejmkiem, Krzysztofem Zanussim, Danutą Baduszkową oraz z Harrym Kupferem (NRD). Świadczy to o uświadomieniu sobie konieczności „nowoczesnego planowania" w tym zakresie i dostrzegania dróg rozwojonych współczesnego światowego teatru operowego.

Dążenie do teatru integralnego wiąże się także z problemem aktora w teatrze operowym. „Jeżeli podczas przedstawienia sztuki dramatycznej — pisał Walter Felsenstein — nie zostanie nawiązany kontakt między sceną a widownią, czy to ze względu na niedostatki utworu czy aktorstwa, wówczas nie ma przeżycia teatralnego, publiczność zostaje obojętna. Z doświadczenia wiadomo, że nawet dobra sztuka może paść, kiedy jest źle grana. I odwrotnie: znakomite aktorstwo może sprawić, że nawet marna sztuka stanie się wydarzeniem i przeżyciem. To samo dotyczy oczywiście przedstawień dzieł muzycznych." W teatrze muzycznym przeważa jednak pogląd, że publiczność przychodzi tu dla przyjemności słuchania pięknego brzmienia ludzkiego głosu, obserwowania sprawności tanecznej, wystawy. Nie przeczy to jednak modelowi teatru integralnego, który korzysta z tych składników, ale chce je traktować jak „przekonujący, prawdziwy i niezbędny środek wypowiedzi. Sądzić można, że wydziały wokalno-aktorskie w PWSM, pieczołowity i ambitny dobór reżyserów, kształtujących aktora — śpiewaka oraz jego głębokie przeświadczenie o konieczności analitycznej pracy nad rolą pozwolą ukształtować taki właśnie model.

Operowy teatr integralny to także repertuar: Monteverdii, Gluck, Weber, Britten, Mozart, Wagner, Händel, Schönberg, Szostakowicz, Prokofiew itd. Teatr Wielki w Łodzi w bieżącym sezonie będzie realizował pozycje, które stanowią, jak gdyby, przegląd dorobku repertuarowego dziesięciolecia swego istnienia. Stąd trochę wznowień oraz takich pozycji jak „Wesele Figara", „Cyganeria", „Manru". Kierownictwo Teatru Wielkiego zapowiada, że w następnym dziesięcioleciu model repertuarowo-artystyczny będzie zgodnie egzystował z proponowanym modelem teatru, w którym obok znakomitych aktorów-śpiewaków tworzyć będą znakomici reżyserzy, scenografowie, dyrygenci. Ale zanim taki teatr ukształtuje się i stanie modelem dla pozostałych ośmiu teatrów operowych w Polsce warto przyjrzeć się dwóm propozycjom repertuarowym:

W. A. Mozart „Wesele Figara" — opera buffo, chociaż daleka od włoskiej bufonady, czerpie swoje libretto ze znakomitej XVIII-wiecznej komedii Pierra de Beaumarchais nazwanej przez Napoleona „rewolucją już w toku". Opera ta pozwala na teatralizację, zwłaszcza że posiada ruchliwą akcję sceniczną oraz ciekawe sytuacje — czerpie zresztą z doskonałej struktury komedii Beaumarchais. Reżyserem tego spektaklu będzie Harry Kupfer, którego bogate doświadczenia inscenizacyjne wyniesione z czołowych niemieckich scen operowych pozwalają przypuszczać, że realizacja pójdzie w kierunku syntezy sztuki teatru i muzyki.

J. Paderewski „Manru" — opera oparta na powieści J. I. Kraszewskiego „Chata za wsią". „Jest to pierwsza polska opera, w której orkiestra jest traktowana w sposób symfoniczny z użyciem motywów przewodnich." Jest to typ opery, która oscyluje w kierunku dramatu muzycznego. Reżyserować będzie Danuta Baduszkowa, jeden z twórców akceptujących teatr operowy, w którym dramat i muzyka żyją w idealnej symbiozie.

Obie te pozycje repertuarowe stanowią sygnał zmian, jakie mogą zaistnieć w modelowaniu teatru operowego. Zwłaszcza że czynione są rozmowy z czołowymi kompozytorami (Tadeusz Baird) na temat podjęcia pracy nad polską literaturą dramatyczną, jako inspiracją i materiałem twórczym.

Ideałem byłoby, aby te nowe kompozycje dostały się w ręce reżyserów, o których już była mowa oraz aby aktor potrafił zastosować „śpiew jako przekonujący środek wyrażania myśli przez człowieka i w sposób twórczy trawestować partyturę muzyczną".

„Wydaje mi się — pisał Walter Felsenstein — że pełna realizacja tych założeń może udać się tylko tam, gdzie teatr muzyczny zdoła się ukonstytuować niezależnie od konwencjonalnej produkcji operowej jako samodzielny rodzaj sztuki."

JANINA ŁADNOWSKA

PISMO ANTONIEGO STARCZEWSKIEGO

Na początku lata 1976 roku na terenie Parku „Zdrowie" w Łodzi zostało otwarte kąpielisko „Fala". Wejście na kąpielisko prowadzi przez długi i wąski budynek zaprojektowany przez architektów Majerskiego i Wachowiaka. Na osi budynku w obszernym hallu wejściowym znajdują się dwie ceglane ściany oddzielające hall od szatni i rozbieralni, a jednocześnie stwarzające odrębne wnętrze. Ściany te zostały zaprojektowane i wykonane przez łódzkiego artystę Antoniego Starczewskiego (autora ceramicznego panneau w Bibliotece Uniwersyteckiej i dwóch ścian w foyer Teatru im. Jaracza w Łodzi) z cegły półklinkierowej z cegielni Witaszyce koło Poznania. Czerwień cegły podkreślona jest bielą tynków, naturalnym drewnem pozostałych ścian i szarością kamiennej posadzki. Surowe wnętrze kontrastuje z bogatą zielenią alei Unii i nasłonecznionym kąpieliskiem pełnym blasku od błękitnej wody, żółtego piasku i białych ścian. Wchodząc więc do westibulu z ulicy lub wracając z basenu doznajemy uczucia chłodu, spokoju, harmonii, tak pożądanych w upalny dzień. (Z tych przyczyn starożytni Rzymianie budowali swoje łaźnie z białego marmuru). Obcujemy tu z prawdziwą architekturą, wolną, nareszcie, od papierowo-sklejkowej prowizorki zwanej dekoracją.

Ściany Antoniego Starczewskiego zbudowane są z pionowych, wąskich słupów silnie występujących poza lico muru. Każdy z tych elementów ułożony jest z inaczej formowanej cegły, każdy więc pion jest inny. Kolejność występowania pionów podyktowana jest zasadami symetrii i rytmu, a więc np. na przemian występują słupy z elementów wypukłych i wklęsłych, okrągłych i kanciastych. Środkowe słupy obu ścian są najmocniej akcentowane. Cegły ułożono przy zachowaniu pionu, lecz „nierówno" — co daje efekt swobody i wrażenie pracy ręcznej. To hojne szafowanie niepowtarzalnymi profilami cegieł, zachwianie mechanicznych pionów, ciemne fugowanie powodują dużą ruchliwość, rytm powierzchni; jest ona żywa i urozmaicona. A jednocześnie fakt, że pion jest tu dominantą oraz obecność cokołu powodują, iż odnajdujemy w niej powagę i spokój. Ruch, żywy światłocień „wiązki" zróżnicowanych pionów nasuwają wspomnienie laskowań gotyckich, a surowość cegły wcześniejszą tradycję romańską. W sumie mamy do czynienia z nowoczesną rzeźbą architektoniczną i architekturą, w której występuje bardzo rzadkie w Polsce łączenie szlachetnej cegły z tynkiem i drewnem.

Prace Antoniego Starczewskiego cechuje dążenie do systemu, w ramach którego odnajdujemy swobodę interpretacji. Artystę interesuje „znak, zapis, pismo". Pierwszy swój „alfabet" opracował Starczewski w 1963 roku w zastosowaniu do płaskorzeźb ceramicznych. Literą w tym alfabecie jest cegła. Czasem jest to w istocie zwykła cegła budowlana, częściej ceramiczne klocki pokrywane metaliczną glazurą o falowanej powierzchni; proste, regularne kostki; białe, lśniące, wygięte półkoliście płytki, ażurowe dla przepuszczenia światła; odlewane w ceramicznym tworzywie niepowtarzalne kształty ziemniaków, jabłek, ogórków, cebuli, marchwi, powlekane białą, czerwoną lub niebieską lśniącą glazurą; drewniane, toczone kołki; prawdziwe bułki, ogórki. Mając określony element, Starczewski realizuje swe płaskorzeźby przez dokładanie („Architektura dostarcza mi pomysłu budowy przez dokładanie, jak to ma miejsce przy murowaniu"), co w praktyce daje budowę liniową zbliżoną do pisma. Jak mówi artysta, ważniejsze są dla niego zależności kierunkowe od związków między poszczególnymi liniami zapisu. Powstałe kompozycje pozbawione są zatem napięć kierunkowych, barokowego klucza kompozycyjnego. Kolejność następowania dokładanych cegieł jest wynikiem zastosowania określonego kodu, innego dla każdego zespołu elementów, kodu, który można ująć w zapis literowy lub cyfrowy. W owalnej płaskorzeźbie w hallu Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi zastosowanie znalazły klocki o falistej, lśniącej powierzchni, a ich kolejność występowania jest plastycznym wyrazem zapisu encefalograficznego. Kompozycja zadziwia ruchliwością, wrażliwością na światło, płynnością, a przy tym ścisłą konstrukcją. Inna, prostokątna płaskorzeźba (1967 r.) sporządzona z regularnych kostek naocznie ukazuje konsekwencje metody dokładania tworząc powierzchnię szczególnie dostosowaną do otoczenia architektonicznego. Zaszyfrowany rytm odnajdujemy w znanych każdemu łodzianinowi ceramicznych ścianach w foyer Teatru im. Jaracza w Łodzi. Ściana w hallu na I piętrze składa się z białych, dziurkowanych płytek, przy czym każda płytka przedziurawiona jest w zmiennym rytmie. Zapala się poza nimi światło, także w zmiennym rytmie. Płytki, dziurkowanie, rytm światła: oto alfabet, z którego można składać teoretycznie nieskończoną ilość kombinacji — jak w piśmie. Wracając do architektury: jest to dążenie do systemu uniwersalnego, jakim były przez wieki klasyczne porządki architektoniczne i ich trwałe elementy (kolumna, baza, gzyms, wole oko etc). Podobne problemy stanowią istotę nieefektownych, surowych, prostych tkanin Starczewskiego, w których na czarnym tle białe i jednakowe kreski tworzą rytmy podyktowane programem literowym.

Sławne „Stoły" Antoniego Starczewskiego wystawiane były m.in. na jego wystawie indywidualnej w Ośrodku Propagandy Sztuki w Łodzi w 1974 roku; także w Berlinie Zachodnim na wystawie sztuki łódzkiej w 1976 roku. Na białych obrusach leżały w równych szeregach rzędy białych, ceramicznych, odlanych w naturalnej skali, niepowtarzalnych ziemniaków, innych warzyw i owoców. Był to osobliwy alfabet, w którym nie ma dwóch znaków powtarzających się, a przecież zuniformizowany przez zastosowanie tworzywa obcego naturalnej strukturze modeli, uszeregowany jak pismo. Stoły są szczególnym wyrazem antynomii między przypadkowe lub naturalne a logiką porządku.

Syntezą poczynań Antoniego Starczewskiego jest grafika i rysunek będące dla niego „działaniem wyjściowym jako najszybszy środek zapisu". W rytmie czarnych i białych, płaskich i wyciskanych w papierze „przecinków", niepowtarzalnych liści, wreszcie litery pisanej odręcznie, zależnej od chwilowego nacisku ręki — znajdujemy najistotniejszy punkt zainteresowań artysty — pismo. Wyjaśnił on kiedyś, że jego amatorskie studia grafologiczne wywarły wpływ na jego twórczość, a także przyznał się do pokrewieństwa z letrystami (artystami zainteresowanymi pismem jako środkiem wyrazu plastycznego). Starczewskiego nie interesuje zewnętrzna budowa znaku, ani też treść morfemów i wyrazów. W języku interesuje go: zmienność, następczość, struktura zależna od obranego kodu, zależna od nastroju, psychiki indywidualnej człowieka, kręgu kulturowego itd. — a więc: wykres encefalograficzny, jako schemat budowy płaskorzeźby, druk gazetowy, pismo Braille'a, szeregi jednej litery pisanej odręcznie, linia jako nie kontrolowany ślad ręki artysty, szeregi różnych liter nie tworzące wyrazów, wyrazy tworzone przez dokładanie. Jeżeli Starczewski sporządza ceramiczne odlewy indywidualnych kształtów warzyw i owoców czy też używa liści jako elementu swoich prac, to nie czyni tak dlatego by ukazać swe zainteresowanie przyrodą żywą czy też ujawnić symboliczną „mowę kwiatów" — lecz po to, by unaocznić taką cechę umysłu ludzkiego, która każe porządkować i nazywać, a więc tę, która zrodziła język. Są to zatem badania nad środkami wyrazu. Artysta przenosi je na dziedziny pozawizualne i wypowiada np. głośno litery (nazywa to letresonami) lub wygrywa na skrzypcach dźwięki w kolejności stanowiącej „dalszy ciąg zaszyfrowanych układów graficznych i rzeźbiarskich". Układy te, pozbawione melodii, są linearne i ujawniają to co było początkiem sztuki — rytm.

Rozwiązując szyfry Antoniego Starczewskiego stajemy się „bogatsi o sztukę".

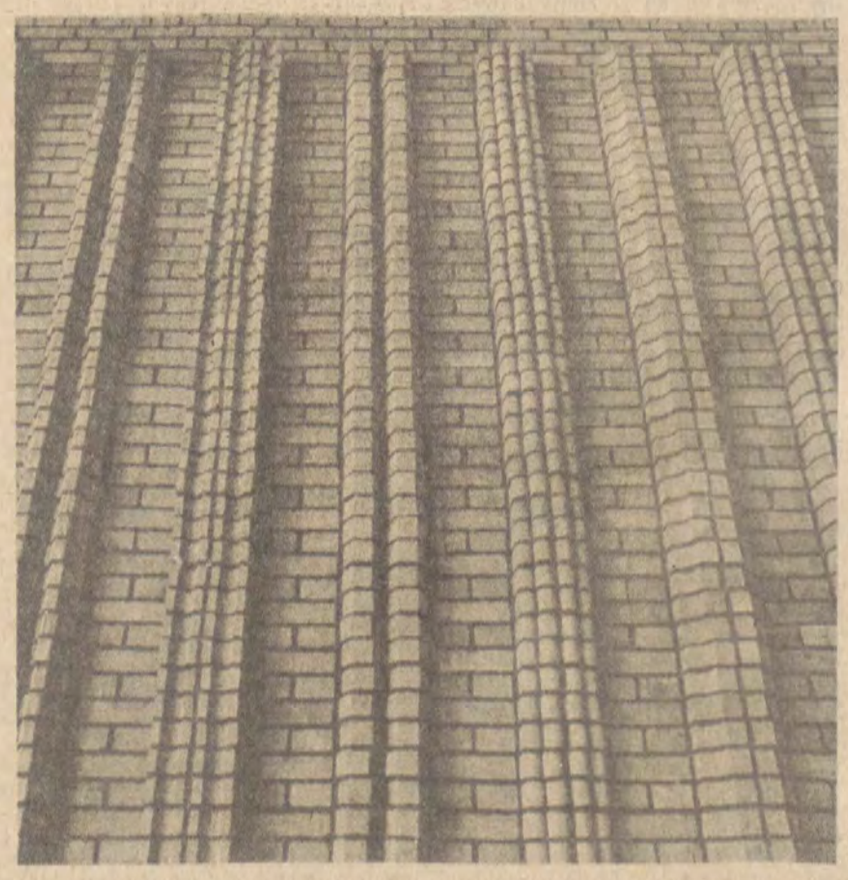

Foto: M. Kowalski

U PRZYJACIÓŁ

★ ☆ ★

Upłynęły cztery miesiące od otwarcia wzniesionego w centrum Berlina Pałacu Republiki. Imponujący wielkością i oryginalną architekturą gmach pełni rolę ośrodka życia społeczno-politycznego i kulturalnego stolicy NRD i całej republiki.

Pałac ma około tysiąca pomieszczeń z główną salą na 5 tysięcy miejsc. Ma ona kształt sześciokąta i jest tak skonstruowana, że w każdej chwili może być dostosowana do różnego typu imprez. Ściany są rozsuwane, sklepienie można automatycznie obniżać, podium podnieść. Możliwości techniczne jakie stwarzają pomieszczenia wymagają opracowania wielostronnego programu, z uwzględnieniem ok. 700 imprez kulturalnych w ciągu roku.

Urządzane są tu liczne koncerty z udziałem krajowych i zagranicznych zespołów muzycznych. M.in. w październiku będzie organizowana wielka impreza p.n. „Berliner Festtage", z inauguracyjnym koncertem w wielkiej sali. Tutaj też na przełomie roku 1976/77 zostanie wykonana IX Symfonia Beethovena. W przyszłym roku odbędzie się tu m.in. VII Festiwal Pieśni Politycznej.

★ ☆ ★

W Instytucie Literatury Rosyjskiej Akademii Nauk ZSRR dobiegają końca prace nad „Zbiorem Lermontowskim", do którego wejdą nowe materiały związane z życiem wielkiego poety. Publikacja powstaje przy współpracy z Uniwersytetem Columbia w USA, w którego zbiorach znajdują się rysunki Lermontowa. Z USA przesłano również fotokopie 11 autografów wierszy poety. Oryginały znajdują się w Nowym Jorku wywiezione tam jeszcze za życia poety. Oprócz „Zbioru Lermontowskiego" badacze radzieccy przygotowują również „Encyklopedię Lermontowską", wielotomowe dzieło o życiu i twórczości poety.

★ ☆ ★

W mieście Bijsku i wsi Srostki na Ałtaju odbyły się „Dni Literackie" poświęcone synowi tej ziemi — Wasylijowi Szukszynowi. W Bijsku — w fabrykach i siedzibach organizacji, w których kiedyś Szukszyn pracował, urządzone zostały wieczory literackie, w kinach odbyły się projekcje jego filmów, a w Instytucie Pedagogicznym otwarto muzeum poświęcone autorowi „Kaliny czerwonej". We wsi Srostki na budynku szkoły, w której Szukszyn uczył się, a następnie był nauczycielem — odsłonięto tablicę pamiątkową. Jego imieniem nazwano jeden ze statków pływających po Obie.

★ ☆ ★

„Czytaliszcze" — to bułgarskie czytelnie ludowe, nie mające odpowiednika w żadnym innym kraju. Są to ośrodki upowszechniania książki, ale także samorodnej twórczości artystycznej. Oryginalną cechą tych placówek (jest ich ok. 4,5 tys., z czego blisko 4 tys. przypada na wieś) jest to, że utrzymywane są w znacznej mierze ze składek członkowskich, bo „czytaliszcze" są jako placówki kulturalne w równej mierze organizacjami społecznymi, które zrzeszają ok. 1.200 tys. członków. Stanowią one wymowny przykład wiązania w działalności kulturalnej tradycji ze współczesnością, jako że rodowód ich powstania sięga końca ubiegłego wieku.

W Bułgarii na rzadko spotykaną w świecie skalę rozwinął się ruch amatorski; w niespełna 9-milionowym kraju działa ponad 13 tys. różnorodnych zespołów artystycznych, a wśród nich 6 tys. chórów, 1600 zespołów muzyczno-tanecznych, ok. 700 grup estradowych, a nawet — co jest unikalne w świecie — 30 amatorskich oper i operetek. Patronują temu ruchowi „czytaliszcza", zakładowe i spółdzielcze domy kultury, kluby, szkoły, wyższe uczelnie i organizacje społeczne. O tym, że jest to ruch niezwykle żywy świadczy chociażby fakt, że w gminnych, miejskich i rejonowych eliminacjach do ostatniego, III Festiwalu Twórczości Ludowej, który niedawno zakończył się w Kopriwszticy uczestniczyło ok. 90 tysięcy osób. Tegoroczny przegląd cechował wzrost liczby zespołów folklorystycznych, co przeczy pesymistycznym prognozom, że młode pokolenie niezbyt lubi ludowe pieśni, tańce i muzykę.

O aktywności kulturalnej społeczeństwa bułgarskiego świadczy nie tylko ruch amatorski. Jak wskazują badania UNESCO również i pod względem upowszechniania czytelnictwa Bułgaria znajduje się na jednym z czołowych miejsc w świecie.

(ab)

NAMIBIA

REZERWATY TANIEJ SIŁY ROBOCZEJ

Rasistowski reżim Vorstera wprowadził kontrolowanie wszelkich informacji dotyczących sytuacji w Namibii, a w szczególności informacji o działalności Południowo-Zachodniej Afrykańskiej Organizacji Ludności Namibii — SWAPO. Zagraniczni korespondenci, nie mogąc dostać się do Namibii, muszą korzystać z informacji otrzymywanych z oficjalnych źródeł RPA.

Jednakże w 1973 roku szwedzkiemu dziennikarzowi, Per Zanderowi, udało się odbyć podróż do Namibii. Po powrocie, w jednym z reportaży, opowiedział on o losie maleńkiej wioski w prowincji Kapriwi. Jej 500 mieszkańców rozstrzelano lub spalono żywcem w czasie pacyfikacyjnej ekspedycji południowoafrykańskiej policji. Komentując tę informację, przewodniczący Komisji do Spraw Namibii w ONZ powiedział: „Wprost nie do wiary, żeby podobne wydarzenia mogły mieć miejsce w cywilizowanym świecie".

Nikt by się także nie dowiedział o losie wsi Kolonga, której 105 mieszkańców — kobiety, mężczyzn i dzieci — zabito, następnie oblano benzyną i spalono, gdyby dwóch zachodnich dziennikarzy przejeżdżając tamtędy nie spotkało przypadkiem jedynego pozostałego przy życiu świadka tej masakry — Aarona Haingula, który stracił w czasie tej krwawej rozprawy żonę i dzieci.

Te dwa przykłady są zaledwie drobnym rysem charakteryzującym sytuację istniejącą w Namibii na przestrzeni ostatnich lat.

Jak podkreśla się w sprawozdaniu Komitetu ONZ do Spraw Dekolonizacji, w wyniku eksploatacyjnej polityki zagranicznych monopoli, w Namibii i Zimbabwe notuje się wysoką śmiertelność wśród rdzennej ludności tych krajów (50 proc. umierających nie osiąga wieku 10 lat).

Mimo licznych rezolucji ONZ, Organizacji Jedności Afrykańskiej i Międzynarodowego Sądu, żądających niepodległości dla Namibii, rasiści z Południowej Afryki i ich sojusznicy — zagraniczne monopole — kurczowo trzymają się tej ziemi, przynoszącej im bajeczne zyski.

Zaznajamiając się z ekonomiką Namibii, uderza jednostronny charakter jej rozwoju. Cały wysiłek koncentruje się na rozwoju przemysłu górniczego, przynoszącego około 70 proc. wartości globalnej produkcji Namibii. Nie jest to przypadek. Ziemia w Namibii kryje cynk, cynę, uran — ogółem około 1/4 światowych zasobów tych rud. Namibia zajmuje jedno z czołowych miejsc w świecie pod względem wydobycia diamentów, które przynoszą rządowi RPA, tylko z tytułu podatków za prawo do eksploatacji złóż diamentów, ponad 30 milionów randów rocznie. Jest to suma dwukrotnie większa od sumy przyznawanej na zaspokojenie potrzeb rdzennej ludności Namibii.

Wydobycie diamentów znajduje się pod niemal całkowitą kontrolą kompanii „Consolidated Diamond Mines of South Africa", której działalność może być doskonałą ilustracją systemu rabunkowej eksploatacji Namibii. Z koncesji, rozciągającej się na obszar około 100 km szeroki i ok. 300 km długi, wyciska ona rocznie około 50 milionów randów czystego dochodu. Ogółem działają w Namibii 44 wielonarodowe korporacje, które grabią bogactwa kraju i dostarczają Pretorii broń, której używa ona do dławienia ruchów narodowych.

Dziś, przez terytorium Namibii biegnie niewidoczna, tak zwana „czerwona linia" dzieląca ją na dwie podstawowe strefy. Na północy od tej linii znajduje się większość osad, które zamieszkują Afrykanie. Na południe od niej leży „strefa policyjna", do której wchodzą miasta, porty, kopalnie i fabryki. Rozumie się samo przez się, iż strefa ta jest przeznaczona wyłącznie dla białych. Afrykanie wegetują na skąpych ziemiach, które nie mogą ich nawet wyżywić i dlatego też rdzenna ludność afrykańska musi szukać pracy w strefie dla białych, sprzedając za bezcen swoją siłę roboczą. W strefie policyjnej „migrujący" robotnicy afrykańscy mieszkają w specjalnych obozach, do których nie wolno im zabierać ani żon, ani dzieci. Co więcej, Afrykanom nie wolno się poruszać po kraju bez specjalnego zezwolenia władz. Zezwolenia wydaje się wyłącznie pełnoletnim Afrykanom zatrudnionym w charakterze robotników.

Polityka rezerwatów dla Afrykanów, prowadzona przez Vorstera w Namibii, ma na celu zamaskowanie prawdziwych celów rasistów.

Żeby otrzymać pracę mieszkańcy rezerwatów muszą przejść przez biura pośrednictwa pracy w miejscu zamieszkania. Po podpisaniu kontraktu robotnik staje się całkowitą własnością firmy lub osoby prywatnej. Komitet do walki z apartheidem w jednym z biuletynów podaje następujące fakty, świadczące o warunkach najmu do pracy:

„Jeżeli rezerwat (bantustan) nie dostarcza dostatecznej ilości siły roboczej, komisarz do spraw produkcji społecznej, zgodnie z zarządzeniem, zmusza starostę wsi i członków miejscowej rady rezerwatu do przydziału ludzi do pracy na farmach lub drogach. Przydzielony do pracy mieszkaniec wsi, z zawieszoną na szyi tabliczką z nazwiskiem właściciela i adresem, udaje się do najbliższej stacji, skąd pracownicy kolei kierują go w wagonie towarowym do miejsca przeznaczenia. Po przybyciu na wskazany punkt, w towarzystwie policjanta odprowadza się go do właściciela".

Publicysta algierskiego „al Mudżahid" pisze m. in.: Robotnicy traktowani są jak bydło. Właściciele biją ich bez miłosierdzia, nieraz do śmierci. Robotników, którzy padają ofiarami nieszczęśliwego wypadku przy pracy, zwalnia się i wysyła do rezerwatu bez groszowego choćby zaopatrzenia.

Rezerwaty, które reżim Vorstera usiłuje dziś przedstawić jako niezależne państwa, są w rzeczywistości gigantycznymi rezerwuarami taniej siły roboczej. Francuski komitet do walki z apartheidem informuje:

„Urzędnicy RPA przekupują wodzów plemiennych i inne sprzedajne elementy, żeby zapewnić sobie ich współpracę w urzeczywistnianiu szatańskich planów rasistów. Głównym celem reżimu Vorstera w dążeniu do stworzenia „niepodległych" rezerwatów jest nie tylko zabezpieczenie Republice Południowej Afryki taniej siły roboczej, lecz także zamiar przekształcenia rezerwatów w forpoczty rasizmu, w buforowe strefy między wolną Afryką a Republiką Południowej Afryki".

Szczególnie okrutne represje spadły na ludność po powstaniu SWAPO (South West African Peoples Organisation of Namibia). W liście do generalnego sekretarza ONZ przewodniczący SWAPO — Sam Nujoma pisał: „Masowe represje, tortury, wyroki bez sądu i śledztwa są w Namibii praktyką dnia codziennego".

W poszukiwaniu wyjścia, koła rządzące Pretorii próbują postawić u steru władzy w Namibii rząd marionetkowy, organizując kolejną farsę, tzw. „rozmów konstytucyjnych". Naród Namibii zdecydowanie odrzuca manewry rasistów z RPA, będące próbą uwieczenienia rządów segregacji rasowej.

Zwycięstwa, które osiąga naród Namibii zarówno w planie politycznym, jak i wojskowym, umacniają jego wiarę, że wolność i niepodległość nie są już za górami.

Tymczasem w Republice Południowej Afryki obserwatorzy polityczni odnotowują masowe wystąpienia antyrasistowskie, co oznacza, iż do aktywnej walki przeciwko segregacji rasowej w RPA włączyły się szerokie masy rdzennej ludności tego kraju.

Korespondent „Timesa" z Johannesburga donosi, że protest murzyńskiej ludności przybrał jeszcze na sile po tym, jak dziesiątki tysięcy ludzi odpowiedziało na apel o przerwaniu pracy w „białych" dzielnicach Johannesburga. Fakt, że duża liczba murzyńskich robotników poparła trzydniowy strajk, świadczy o tym, iż podobna działalność może wywrzeć w każdej chwili negatywny wpływ na ekonomikę RPA. Liczba strajkujących nie była znana. Według oceny przedsiębiorców wahała się w granicach 40—100 procent ogólnej liczby robotników. A zatem strajk poparło około 150—200 tysięcy Afrykanów.

Efekty tej szerokiej kampanii były wyraźnie widoczne. Na ulicach Johannesburga nie było afrykańskich robotników, biali wykonywali prace fizyczne pozostawiane z reguły Afrykanom. Musieli usługiwać w restauracjach, roznosić pocztę, a nawet szorować podłogi.

Korespondent Reutera donosi z Dar-es-Salam, że Afrykański Kongres Narodowy opublikował oświadczenie, w którym mówi się, że trzydniowy strajk robotników w Soveto zadał mocny cios rasizmowi. „Uderzenie to — głosi oświadczenie — powinno rozwinąć się wszerz i w głąb, wciągając cały kraj i wszystkie warstwy ludności, wszystkie grupy socjalne, wespół z którymi stawiamy przed sobą wspólny cel: stworzenie nierasistowskiej, demokratycznej Republiki Południowej Afryki".

JERZY CZECH

■ PO ŚMIERCI MAO TSE-TUNGA
■ PRZECIWKO TERRORowi W CHILE
■ BRUKSELSKA WIZYTA
■ CO MÓWIĄ ANKIETY?

W obszernym komunikacie KC KPCh, parlamentu i rady państwowej o śmierci Mao Tse-tunga, przekazanym przez agencję Sinhua, jest zapowiedź pełnego kontynuowania polityki wewnętrznej i zagranicznej, prowadzonej dotychczas. Znajdujemy w nim — co więcej — stwierdzenie, że konieczne jest pogłębienie krytyki Teng Siao-pinga i kontynuowanie walki „w celu zniweczenia wysiłków, podejmowanych przez zwolenników prawicowego odchylenia". Tak więc **potwierdza on toczącą się walkę między różnymi maoistowskimi ugrupowaniami.** Agencje zachodnie przypuszczają, że nasili się ona wkrótce — nawet w przypadku, jeśli teraz powołane zostanie kolektywne kierownictwo.

Obserwatorzy polityczni w Pekinie odnotowują, że od końca czerwca, kiedy to oficjalnie ogłoszono, że Mao nie będzie już przyjmował osobistości zagranicznych, **jedynie premier Hua Kuo-feng aktywnie występował publicznie.** Nie stwierdzono natomiast ani jednego przypadku pojawienia się Cziang-Czing — żony Mao chociaż co najmniej dwukrotnie mogła i powinna wystąpić na scenie politycznej. Również z faktu, że ani razu nie pokazał się w tym czasie najmłodszy wiceprzewodniczący KC Wang Hung-wen wyprowadza się wniosek, że być może radykałowie zeszli ostatnio na drugi plan. Tym bardziej **najwięcej szans daje się obecnemu premierowi,** który, jak pamiętamy, zrobił przecież zawrotną karierę. Są to jednak wszystko spekulacje.

Główne uroczystości żałobne odbędą się w Pekinie w najbliższą sobotę — dziesiątego dnia żałoby narodowej. Zgodnie z decyzją Komitetu Centralnego KPCh i rządu chińskiego nie zaproszono na nie żadnych delegacji, czy też przedstawicieli rządów oraz partii.

☆ ★ ☆

Zmieńmy teraz kontynent i przenieśmy się do Chile. Minęła właśnie rocznica faszystowskiego puczu i objęcia władzy przez juntę Pinocheta. Dzień ten obchodzony był na świecie, z inicjatywy Światowej Rady Związków Zawodowych, jako **dzień solidarności z robotnikami i całym ludem chilijskim i udzielenia mu poparcia w jego sprawiedliwej walce.**

Trzy lata rządów Pinocheta tragicznie zapisały się w dziejach Chile. Więzienia i obozy są przepełnione, tysiące ludzi poniosło śmierć, tysiące zginęło bez wieści. W kraju szerzą się bezrobocie i głód, a inflacja jest rzędu 300 — 400 procent. Łatwo sobie wyobrazić, jak niekorzystnie odbija się to na poziomie życia robotników.

Sytuacja Chile wywołuje **protest na różnych kontynentach,** co właśnie wykazał 11 września — dzień solidarności z narodem chilijskim.

☆ ★ ☆

A teraz przenieśmy się na kontynent europejski.

W Brukseli składał oficjalną wizytę prezes Rady Ministrów — P. Jaroszewicz.

Belgia jest tradycyjnym już partnerem handlowym Polski. Duże ożywienie w stosunkach wzajemnych nastąpiło jednakże dopiero w ostatnich latach. Fakt, że w ciągu minionego pięciolecia wymiana towarowa wzrosła 6-krotnie łączyć należy m. in. z wieloletnią umową o współpracy gospodarczej, przemysłowej i naukowo-technicznej i 10-letnim układem o współpracy gospodarczej, jakie podpisane zostały w czasie wizyty Edwarda Gierka w Belgii.

Jednakże ciągle więcej towarów importujemy z Belgii niż do niej eksportujemy. Mniejsze niż można oczekiwać zakupy polskich towarów na tamtejszy rynek mają swe źródło i w recesji, jaka dotknęła Belgię w ostatnim okresie i w ograniczeniach, dyktowanych jej przynależnością do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Ale czy tylko? **Jednym z tematów rozmów polskiego premiera w Brukseli było rozszerzenie i dalsze ożywienie współpracy ekonomicznej.**

☆ ★ ☆

I jeszcze jeden temat naszego przeglądu aktualiów: sytuacja przedwyborcza w RFN.

Ostatnio ujawniono wyniki ankiet, z których **każda daje przewagę koalicji rządowej SPD/FDP nad opozycją.** Podkreśla się, że gdyby wybory odbyły się w minioną niedzielę socjalliberałowie otrzymaliby o 3—4—5% głosów więcej. Czy tak będzie 3 października — trudno jednoznacznie odpowiedzieć, ponieważ — zdaniem przeprowadzających ankiety — co dziesiąty wyborca zachodnioniemiecki nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji na kogo będzie głosować.

Przypomnijmy, że w Bundestagu obecnej kadencji partie koalicji mają przewagę ponad 40 mandatów. Czy taka utrzyma się także po wyborach? Piszemy: „utrzyma", ponieważ wszystko wydaje się wskazywać na to, że CDU/CSU uda się wywalczyć nieco korzystniejszą sytuację niż obecnie, chociaż nie tak dobrą, aby chadecja mogła formować nowy rząd.

W. SŁAWSKI

TELEWIZJA

STUDIO 2 I FILMY

Zgodnie z tym, co pisałem niedawno (że telewizja uwielbia zmiany w programach, które zdobyły już swoją markę i uznanie telewidzów), dokonano drobnych zmian w Studio 2. Wyeliminowano mianowicie Tomasza Hopfera, który nie będzie nam towarzyszył przez całą wolną sobotę. Jeszcze wcześniej wyeliminowano Hopfera z festiwalu sopockiego, gdzie — jak wiadomo — miał prowadzić konferansjerkę.

Studio 2 początkowo prowadzone było „na żywo". Od jakiegoś czasu wprowadza się obficie telerecording, co łatwo może zauważyć nawet niefachowiec, jako że montaż jest dość wyraźny. Nic to oczywiście zdrożnego, po to wynaleziono telerecording, aby go w telewizji stosować.

Śmieszy więc, gdy Edward Mikołajczyk wmawia telewidzom, że programy lecą na żywo, jakby to miało jakieś znaczenie. W Turnieju Kolekcjonerów prowadzący miał taką małą „sypkę", mówiąc na zakończenie: „dobranoc państwu", podczas gdy program nadany został w południe.

Zareagował na to E. Mikołajczyk, mówiąc: „redaktor Gronowski pomylił się, bo w studio jest ciemno". Po co robić z kolegi idiotę, skoro problem jest akurat w tym wypadku nieistotny.

Trochę mnie zaniepokoiły informacje na temat „przemodelowania" Studia 2. Wiedząc, że gorsze jest wrogiem lepszego, obawiałem się tego „ulepszenia" znakomitego bloku programowego, znakomitego i j e d y n e g o zresztą, bo podobny blok Redakcji Publicystyki Kulturalnej jakoś nie wyszedł, choć autorzy bez żenady powielali chwyty i pomysły Studia 2.

Okazało się jednak, że — na razie przynajmniej — Studio 2 pozostaje tym, czym było dotychczas: znakomitym, różnorodnym, dowcipnym i inteligentnie realizowanym blokiem programowym. W ostatnim wydaniu zaprezentowano recital rewelacyjnej Ally Pugaczowej, Karela Gotta, tradycyjny już kabarecik Olgi Lipińskiej, rozmowy z ciekawymi ludźmi itp. Czyli — jak dotąd — wszystko po staremu i bardzo dobrze. Z nowości będzie w Studio 2 cykliczny program Zygmunta Broniarka. Sam Broniarek nowością telewizyjną nie jest, ale dobrze, że Studio 2 zaoferowało mu nieco czasu na prezentację ciekawych postaci.

Reasumując: Studio 2 nadal pozostaje wzorem, jak powinny wyglądać interesujące programy telewizyjne c o d z i e n n i e. A może Prezes odda zespołowi Studia 2 całą telewizję w ajencję?

Kiedyś mówiono, że telewizja „zabije" film. Jeszcze dawniej mówiono, że film „zabije" teatr. Ale to nieprawda. Jak dotąd teatr żyje i to w dobrym zdrowiu; także film rozwija się znakomicie (szkoda tylko, że na świecie, a nie u nas) i wcale mu telewizja nie przeszkadza.

Wręcz przeciwnie — to właśnie film bardzo często ratuje telewizję. Proszę sobie wyobrazić, czym byłby program TV bez filmowych cykli: „W starym kinie", „Filmoteki arcydzieł", bez przeglądów autorskich...

Właśnie w „Filmotece arcydzieł" obejrzeliśmy raz jeszcze (ale przecież wielu oglądało po raz pierwszy) „Pół żartem, pół serio", znakomity, klasyczny już przebój ekranowy lat sześćdziesiątych z Marylin Monroe w roli głównej. Tygodnik „RTV" napisał, że MM wystąpiła w „roli tytułowej", ale to oczywiście przejęzyczenie. Wszyscy bowiem wystąpili tu „pół żartem, pół serio": Jack Lemmon i Tony Curtis — dwie znakomite „członkinie" damskiej orkiestry. Film Billy Wildera był jedną z najlepszych pozycji programu ostatniego tygodnia.

Dobrze też, że telewizja przypomina dorobek reżyserii Antoniego Bohdziewicza. Ostatnio zobaczyliśmy „Szkice węglem". W „starym kinie" natomiast obejrzeliśmy pierwszą część słynnej „Nietolerancji". Twórca tego klasycznego dzieła amerykańskiej i światowej kinematografii — David Wark Griffith — uważany jest za pioniera filmu i nowatora filmowych środków wyrazu. Jego „Nietolerancja" stała się rewelacją — podniosła film, uważany dotąd za jarmarczną rozrywkę — do rangi sztuki. Dziś, po 60 latach dzieło Griffitha imponuje rozmachem i nowoczesnością stylu narracji.

Szkoda, że nie wszyscy mogli ten film obejrzeć: nadany bowiem został w nie najlepszych, popołudniowych godzinach i to w drugim programie. Ale dobre i to.

TELEMAN

POWIEŚĆ W ODCINKACH (6)

bohater na ośle

MIODRAG BULATOVIĆ

Rys. J. Szymański — Glanc

Tu, pośrodku chwiejącego się mostu, przerażający huk dzwonów i zmurszały, drżący krzyk hodży rozbrzmiewały jakby jeszcze donośniej. Pułkownik był przekonany, że twarz hodży wykrzywia się właśnie do niego, że to do niego kwiczy i szeroko rozwiera usta, rzygając smrodliwymi, mokrymi, niezrozumiałymi słowami orientalnej modlitwy; że dzwony biją właśnie jemu na złość, huczą, żeby go przestraszyć i ostrzec.

Za mostem, przy źródle porucznicy czyścili pułkownika. Spartaco Allegretti nadal mocno ściągał uzdę i trzymał się kuli u siodła, spoglądając na barwny, wielogłowy tłum na moście. Wąska, płytka rzeka, w której od zbyt długiej suszy ubyło wody, owijała się wokół drewnianych filarów mostu.

Właśnie w chwili, gdy Arturo i Nicola chusteczkami zaczęli czyścić i glansować buty pułkownika, wybuchła kanonada. Pułkownikowi żywiej zabiło i urosło serce. Chwycił lornetkę: z rowów, obok drutów kolczastych, którymi opasane było miasteczko, żołnierze strzelali; wyjmowali nawet rewolwery, przykładali do oka i manipulowali przy zamkach.

Tak jest, chłopcy — powiedział w duchu pułkownik i ostrożnie obrócił się w siodle. Z drugiego zbocza terkotały karabiny maszynowe i ciężkie „bredy", a trawa i niskie zarośla trzęsły się od ognia i salw. — Mocniej, trochę mocniej — znów szepnął w duchu, zapominając o porucznikach, którzy uwijali się przy jego butach. Patrzył, jak dymią długie czarne lufy, jak odskakują łuski nabojów, a żołnierze w hełmach, w jakichś brezentach i siatkach tłoczą się i potykają koło skrzynek z amunicją.

Krew uderzała mu do głowy, coraz bardziej rósł w siodle.

Tak, moi chłopcy — szeptał. — Zobaczymy, kto prędzej się zmęczy: oni tym przeraźliwym dzwonieniem i wyciem z minaretu czy nasze lśniące maszynki; i zobaczymy, czy w przyszłości będą nadużywać swoich zatęchłych świątyń, gdy zechcą dać znak do buntu albo podobnych wyczynów.

Grzmiało niebo; trzęsła się pstrokacizna na moście. Horacy strzygł uszami i patrzył na zieloną rzekę. Pułkownik sam zapragnął strzelać, wypróbować nowy rewolwer w złoconym futerale. Na widok osowiałych, przestraszonych twarzy swojej eskorty poczuł jednak głębokie obrzydzenie i zmienił zamiar. Ruszył w dalszą drogę ku lotnisku.

* ☆ *

Kapitan Brambilla i inni oficerowie, a także otaczający ich żołnierze widzieli, jak Lorenzo Fioravanti — z chwilą gdy kanonada rozłupała niebo nad dachami, a sztandary rozwiały się na masztach — odszedł od nich. Jak ugodzony kulą postąpił parę kroków naprzód, a potem ruszył w bok. Nagle zawróciwszy. zderzył się z jakimś podoficerem, który upadł. Kapitan nawet tego nie zauważył.

— Panie Fioravanti — powiedział Vittorio Brambilla.

Lorenzo wytrzeszczył zmętniałe oczy.

— Panie kapitanie, na Boga — powiedział Brambilla.

Z zaciśniętymi pięściami Lorenzo rzucił się na niego. Kto wie, gdzie i jak by się zatrzymał, gdyby nie żołnierze, którzy zagrodzili mu drogę. Lorenzo nie powiedział słowa, zazgrzytał tylko zębami. Patrzył na bladego Vittoria, który piskliwym głosem powtarzał:

— Żołnierze, widzieliście?! Żołnierze, wy będziecie świadkami!

Działa huczały. Lorenzo Fioravanti stał ponury, na rozkraczonych nogach. A Vittorio Brambilla, niby ptak o długiej szyi, obracał się wkoło, sycząc:

— I to przy ludziach, na oczach cywilów! Można powiedzieć pośrodku rynku! Oto, żołnierze, co z człowieka robi alkohol! Coś niesamowitego!

Żołnierze poszturchiwali się i podśmiewali stojąc przed Lorenzem, który tkwił wciąż w tym samym miejscu. Patrzył przed siebie, ale nikogo nie widział. Oczy przesłaniała mu krwawa mgła.

— Mały, nędzny donosiciel — rzekł cicho Lorenzo Fioravanti.

I jak gdyby porwany jakąś czarną, tajemną siłą, ruszył na przełaj przez rynek. Patrzyli za nim i nikt nie śmiał go zatrzymać. Czekali tylko, że upadnie. Im bardziej bowiem zbliżał się do studni i do knajpek, tym bardziej się zataczał. Żołnierze patrzyli po sobie, a potem nieznacznie spoglądali na Brambillę, który syczał jak żmija:

— Wszystko powiem pułkownikowi! I nie tylko pułkownikowi, generałowi powiem! Zobaczymy, czy dowództwo pozwoli oficerom upijać się i zatracać przez alkohol! I jeszcze zamieszanie wywołuje, hańbi naszą zdyscyplinowaną, sławną armię!

Pragnienie silne jak ból paliło wargi Lorenza. Czuł, jak kołczeje mu język, wysycha podniebienie, a przełyk zwęża się i zaciska. Drżał na całym ciele. Oczy znów zachodziły mu mgłą, więc żeby nie upaść wysoko podnosił głowę i jak ryba wyrzucona na gorący piasek, rozwierał usta, dyszał. Wiedział, dokąd zmierza, ale nie mógł się już zatrzymać.

Gdy Lorenzo stanął na progu karczmy Malicia, kapitan Brambilla wyrecytował niby to zgorszonym żołnierzom i podoficerom:

— No jasne, do knajpy, bo niby dokąd! Żeby chociaż poszedł do jakiegoś przyzwoitego lokalu, jak jego przyjaciele i koledzy, ale on zawsze się pcha do brudnej nory tego czarnogórskiego rozpustnika i komunisty Malicia...

Fala śpiewu i ogłuszającego hałasu przywitała Lorenza. Zataczając się między stołami, przewracał wszystko, na co trafił. Żołnierze i cywile robili mu przejście, a on w panice zbliżał się do bufetu, za którym stał Gruban Malić.

Patrzyli na Lorenza ci, którzy uderzając w struny gitar, ściskając i podszczypując podejrzane, podpite dziewuchy, śpiewali i skowyczeli zwyczajem południowców, i ci, którzy siedzieli nad opróżnionymi butelkami w dymie i hałasie, zabijając w ten sposób czas i niemal namacalną nudę. Nie zauważyli go tylko Pietro Portulu i jakiś cywil, tak samo drobny i chudy: obydwaj kompletnie pijani, po raz setny powtarzali sobie coś i tłumaczyli.

Fioravanti bezwładnie oparł się o bufet. Nie czekając, aż usłużny karczmarz zapyta, czego chciałby się napić, chwycił stojący na tacy kieliszek z rakiją i wychylił go błyskawicznie.

Malić spojrzał na niego zdziwiony. Kapitan wyrwał mu z rąk tacę i odwrócił się. Drżąc całym ciałem, wypijał jeden kieliszek po drugim. Oddał karczmarzowi drewnianą tacę z pustymi kieliszkami i rozejrzał się w tłumie. Nikogo nie mógł poznać.

— *Amico* — powiedziała jedna z dziewczyn i objęła go wpół. — Przyjacielu...

Wystrojona, ściśnięta w pasie, w spódniczce nad kolana, z oczyma, które tylko żądają, a nic nie dają w zamian, dziewczyna myślała, że Lorenzo ją widzi. Ale on tylko patrzył.

— *Amico* — powtórzyła rozciągając szerokie, grube wargi. — *Capitano*, ja też bym się napiła.

Kapitan milczał, zapatrzony w dym. Słyszał gitarę i płaczliwą piosenkę Augusta. Gdzieś za tą piosenką, która na nowo zasnuwała mu oczy mgłą, za tym rwącym się, tak dobrze znanym głosem, rozpustnie chichotała jedna z pstrokatych dziewczyn.

— Zapomniałeś mnie, *signor capitano* — powiedziała dziewczyna zaglądając mu w twarz.

Przez całą długą chwilę czuł jej ciepło. Dotykała go okrągłym biodrem, wysoko uniesionymi piersiami i płaskim brzuchem. Owijała się wokół niego, dmuchała mu za uszami; ze złodziejską zręcznością, niemal niepostrzeżenie szukała guzików u spodni.

Coraz ciemniej robiło mu się przed oczyma. Obrzydzenie budziły w nim ręce, dotykające go wszędzie i drażniące, i głosy, które wśród gromkiego śmiechu i hałasu wymawiały jego imię; pragnął znaleźć się daleko stąd, gdzieś, gdzie jest czyściej i spokojniej.

— Pociesz ją, *capitano* — powiedział ktoś obok Malicia i przesunął palcami po strunach. — Nie żal ci jej? Spójrz, jak się przymila mała kotka.

Dziewczyna wspięła się na palce i wilgotnymi wargami musnęła jego wargi. Wydało mu się, że dotknęła go też koniuszkiem szorstkiego, chłodnego języka, i przeszły go ciarki. Gdy dziewczyna powtórzyła swój figiel, poczuł zapach tanich wojskowych perfum i chwycił ją za włosy. Mgła pękała wokół jego oczu: wiedział już że szarpie ją za włosy, a nawet bije.

Ktoś krzyknął:

— Kapitanie, łajdaku!

— Nie bij naszego anioła — powiedział karczmarz. — *Capitano!*

— Może akurat nosi twoje dziecko zawołał ktoś z tłumu. — Hańba!

Lorenzo Fioravanti znalazł się na progu karczmy Malicia.

— Zapłacisz mi za to! — zawołała dziewczyna, poprawiając rozczochrane włosy. — I to zaraz!

— Weź się za niego, ostro! Zasłużył na to!

—Ma się rozumieć, zapłacisz, *capitano!*

— Pięć uderzeń, pięćdziesiąt lirów! — powiedziała zadyszana dziewczyna chwytając go za klapy.

Słuchał ich krzyków i milczał.

— Zrozumiałeś, gadzie? Za każde uderzenie dziesiątka! — zasyczała dziewczyna. — I pięćdziesiąt lirów długu, to razem sto... a o tamtym pogadamy, jak wytrzeźwiejesz.

W półmroku dostrzegł tylko głowy i słyszał piosenkę. Struny gitary Augusta lada chwila mogły pęknąć. Piosenka szlochała coraz gwałtowniej, cuchnąc rakiją i żołnierzami. Od dziewczyny, która tuż przed nim syczała i wytrzeszczała oczy, zalatywało męskim potem. Pragnął uwolnić się od nich wszystkich, uciec.

— *Pagare, canaglia!* — zawołała dziewczyna. — Płać, draniu! Albo pójdę prosto do pułkownika.

Zataczając się ku drzwiom, kapitan Fioravanti wyciągnął z kieszeni kilka banknotów. Niech się potem dzieli z karczmarzem — pomyślał i cisnąwszy zwitek w dym i wrzawę, wypadł na dwór.

I natychmiast piosenkę, a nawet czułe, rzewne dźwięki gitary zagłuszył huk dział. Szedł ulicą jak szalony i bał się, że upadnie. Słońce paliło go w czoło, jak ciężki sen wplatało się w rzęsy. Szedł, potykał się i gdyby nie ludzie, z którymi się zderzał, dawno już trzasnąłby głową o ziemię.

Jeszcze wam mało — szepnął do siebie — ciągle strzelacie. Czemu nie przestaniecie, błazny. Nie widzicie, że wszystko to idzie w powietrze? Nie przyjdzie wam do głowy, że w ten sposób możecie przestraszyć tylko siebie? Daremna jest ta wasza strzelanina, tchórze.

Nad dachami gwizdały pociski — kłębki stalowych łańcuchów, których nie sposób rozplątać. Granaty wylatujące z paszcz miotaczy min to ginęły bez śladu i bez echa, to rozpryskiwały się, nie dotarłszy do modrych grzbietów gór. Widział, jak żołnierze, nawet ci, których mijał na ulicy, przykładają karabiny do oka, jak szaleńczo celują, manipulują przy zamkach i spustach, jak hałasują, krzyczą, a przy okazji złorzeczą wszystkim istniejącym i nie istniejącym bogom.

A góry stały czarne i spokojne — wielkie, niezgrabne posągi, z plamami zeszłorocznego śniegu na szczytach i w kotlinach. Nie mogła ich zaniepokoić, poruszyć ani sącząca się skądś tęskna piosenka, ani tym bardziej zwyczajny huk dział. Patrzył na te niezniszczalne, dumne, kamienne olbrzymy, które, spowite mgłą i zgrozą, sięgały nieba i światłości, to na zniszczone, brudne domki, wśród których poruszał się jak lunatyk i myślał: mateńko moja nieszczęsna, gdybyś wiedziała w jakim jestem dzikim piekle. Szedł przechylając się na obie strony, jak gdyby po belce, gdzieś w pobliżu czuł śliwowicę i szeptał: jeżeli jeszcze żyjesz, biedna moja mamo, powiedz, na co nas tu sprowadzili?

W pewnej chwili, blisko skrzyżowania, upadł. Uniósłszy głowę, spostrzegł żebraka. To dziecko miało może pięć, może siedem lat. Na wychudzonej szyi ledwie się trzymała duża, kędzierzawa głowa. Chłopiec siedział ze skrzyżowanymi nogami, po obu jego stronach leżały kule; ręce trzymał na ziemi, w kurzu. Przed nim leżała czapka, a w niej kilka wyżebranych monet.

Nie wstając i rozkoszując się bólem, świdrującym rozbite łokcie i kolana, Lorenzo wpatrzył się w niebieskie oczy chłopca. Musiały być od dawna chore, ledwo można było dostrzec źrenice. Muchy obsiadały brudną, jak słoma żółtą głowę, ale chłopiec się nie ruszał. Może umarł — pomyślał Lorenzo i poczuł, jak jeżą mu się włosy. — A może skamieniał żebrząc. Albo zasnął.

Ktoś nadchodził. Nieruchomy chłopiec wyczuł to i, gdy hodża był już blisko, powiedział ledwo dosłyszalnie:

— Daj jałmużnę, w imię Chrystusa...

Hodża odkaszlnął z niesmakiem, dotknął dłońmi policzków i rzucił do czapki metalowy pieniądz.

— Chrystus cię wynagrodzi — szepnął chłopiec.

Hodża pogardliwym spojrzeniem zmierzył dziecko, leżącego na ziemi kapitana, i jakby nerwowym pokasływaniem i dotykaniem policzków odegnał od siebie cudzego, złego boga, przyspieszył kroku.

Byli znów sami. Lorenzo, nie wstając, wpatrywał się w opustoszałe oczy dziecka. Czując, jak wnętrzności podchodzą mu do gardła, mówił do siebie: i ty, i ty masz takiego chłopca. Nie tylko ty zresztą, także wielu innych, których tu spędzono. A twój synek pewnie już nie żyje, skoro o nim ani o Annie nie ma wiadomości od dziesięciu miesięcy. Jeżeli żyje twój mały Gaetano, jeżeli przypadkiem przetrwał bombardowania, może siedzi na jakimś moście i tak samo żebrze.

Myśl o matce, o żonie i synu przejęła go smutkiem.

— Mały, jak ci na imię?

Chłopiec milczał; kapitan czuł, jak coś go ściska za gardło.

— Dobry mój chłopcze, powiedz, jak cię nazywają. No powiedz.

Mały jak gdyby naprawdę spał.

— Dobry jesteś — powiedział przez łzy Lorenzo Fioravanti. — Jak mój Gaetano. No, odezwij się chociaż.

Chłopiec siedział bez ruchu — jak gdyby zapatrzony w swoją gwiazdę.

Mężczyźnie łzy uderzyły do oczu. Zadrżał, zagarnął rękami ziemię i wybuchnął:

— Synku mój, synku... złoty mój, mały, odezwij się do mnie. Nie mogę patrzeć, jak siedzisz nieruchomo, bo wydaje mi się, że umarłeś i już nigdy nie... Chłopczyku, powiedz, powiedz cokolwiek... powiedz, czy bardzo cię bolą oczy i czy mnie widzisz.

Chłopiec nie ruszał się — mały mędrzec o uschniętych nogach.

Mężczyzna gorączkowo wyciągnął z kieszeni garść metalowych pieniędzy i rzucił chłopcu. Mały usłyszał dźwięk metalu i rozciągnął wargi. Ale Lorenzo, trzęsąc się od płaczu, nie był pewien, czy chłopiec powiedział cokolwiek. Patrzył, jak dziecko maca naokoło brudnymi rączkami zbierając monety, i chciał podejść, ucałować jego kalekie kolana, cienkie nóżki i grubo wyciosane szczudła.

Zdawało mu się, że słońce pali tylko ich obu, że tylko oni są skazani, aby spłonąć dzisiaj i pójść pod ziemię. Mąciło mu się w głowie. Wargi miał suche i spieczone.

(cdn)

Przełożyła:
DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA

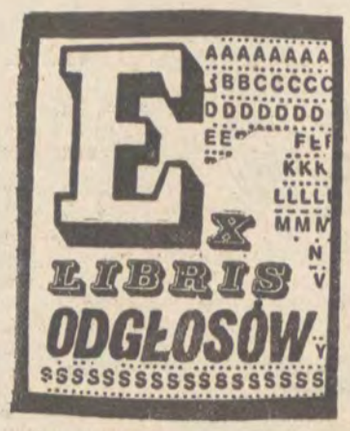

POLSKA AWANGARDA

Adam Ważyk, wybitny poeta i esei-sta, znawca awangardowej poezji francuskiej napisał esej o polskiej awangardzie poetyckiej lat międzywojennych. Książka ta łączy refleksję teoretyczną ze wspomnieniami aktywnego uczestnika tego ruchu. Ilustracją wywodów autora jest dołączona do tekstu mała antologia reprezentatywnych dla omawianego kierunku utworów.

Trochę dziwne, że w tym zestawie autorów Bruno Jasieński reprezentowany jest zaledwie jednym wierszem, a brak w ogóle Stanisława Młodożeńca, jednego z najgłośniejszych poetów awangardy, autora „Futuro-gam i futuro-pejzaży" oraz „Kresek i futuresek". Brak również Jerzego Jankowskiego — autora pierwszych w Polsce wierszy futurystycznych ze słynnego tomu „Tram wpopszek ulicy". Jakże nie upomnieć się tu o Jankowskiego, jeśli jest w antologii Stefan Kordian Gacki, który zasłużył się awangardzie chyba tylko tym, że przez rok bodaj był redaktorem „Almanachu Nowej Sztuki" i autorem paru mało znanych wierszy.

Ale antologia jest antologią — zwłaszcza, gdy redagowana jest przez uczestnika wydarzeń, a więc szczególnie mocno uwikłanego w subiektywne sympatie i sentymenty. Książka Ważyka jest pozycją bardzo ciekawą i cenną, pod warunkiem, że nie potraktuje się jej jako jedynego źródła wiedzy o polskiej awangardzie poetyckiej.

Adam Ważyk „Dziwna historia awangardy", Czytelnik, cena 35 zł

KŁOPOTY Z SAMOCHODEM

Tradycje pisarstwa satyryczno-obyczajowego są w piśmiennictwie radzieckim niezwykle bogate. Do klasycznych osiągnięć w tej dziedzinie zaliczamy utwory Ilfa i Pietrowa czy Zoszczenki. Ale i współcześnie satyra radziecka jest bardzo ciekawa i dobrze, że przekłady z tej dziedziny ukazują się u nas dość często. Warto przypomnieć choćby znakomity tom satyry „Klub 12 krzeseł" czy powieść Okudżawy.

Właśnie ostatnio ukazała się w „Czytelniku" powieść Leonida Lichodiejewa „Ja i mój samochód". Głównym bohaterem tej książki jest samochód, ale dla narratora, obdarzonego dużym poczuciem humoru i darem obserwacji, perypetie z samochodem są pretekstem do ukazania współczesnych obyczajów radzieckich i spraw tylko pozornie związanych z motoryzacją.

Powieść ma zabawną formę, jest pełna ironicznych aforyzmów i paradoksalnych skojarzeń. Autor — dziennikarz i humorysta, wieloletni członek jury popularnego Klubu Wesołych i Bystrych w moskiewskiej telewizji, znany jest czytelnikowi polskiemu z felietonów zamieszczanych w „Szpilkach".

Leonid Lichodiejew „Ja i mój samochód", Czytelnik, cena 24 zł

KUCHNIA FRANCUSKA

Ukazało się już drugie wydanie książki kucharskiej „Domowa kuchnia francuska". Tylko sam alfabetyczny spis potraw zajmuje tu prawie pięć stron drobnego druku. Jest to więc lektura obfita i zajmująca. No i egzotyczna zarazem.

Wbrew powszechnemu mniemaniu książka kucharska może być nie tylko podręcznikiem kulinarnym, ale także świetną lekturą, wcale nie gorszą od najlepszych bedekerów. Okazuje się na przykład, że w Owernii jedzą kotlety schabowe zapiekane z winem, liśćmi szałwii i serem. Albo, że można przyrządzić schab ze śliwkami.

W Bordeaux na przykład jedzą gęś nadziewaną borowikami, a w Normandii piecze się bażanta z jabłkami i słoniną. Tego samego bażanta w Nicei jedzą z duszonymi oliwkami, a w Wogezach z kapustą i boczkiem.

Kuchnia francuska ma, jak wiadomo, ustaloną w świecie renomę. Jednym z najznakomitszych znawców sztuki kulinarnej, Maurice Edmund Sailland, znany był pod nazwiskiem... Cournonsky, co brzmi dla nas raczej swojsko. Autorem „Domowej kuchni francuskiej" jest pan Maciej Erwin Halbański. Drugie wydanie tej ciekawej książki ukazało się w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy. Dowcipny autor wyraża we wstępie nadzieję, że „niniejsza książka przyczyni się do urozmaicenia tradycyjnego polskiego menu i zmniejszy w naszych domach częstotliwość podawania przysłowiowego już „schaboszczaka".

M.E. Halbański „Domowa kuchnia francuska", Wyd. „Warta", cena 42 zł

GDZIE RODZIŁO SIĘ ZWYCIĘSTWO

W tym roku minęła 35 rocznica hitlerowskiej napaści na Związek Radziecki. Był to punkt zwrotny w całej historii najnowszej. Uderzając na ZSRR Hitler automatycznie przesądził wynik rozpętanej przez siebie wojny. Wiadomo już było, że musi ją przegrać.

I tak się też stało. Bo w rachunku Hitlera uwzględniającym liczbę radzieckich dywizji, które mu zagrodziły drogę — zabrakło jednej pozycji o zasadniczym znaczeniu: patriotyzmu narodu radzieckiego, siły zaplecza, jego współdziałania z frontem.

Reportaże, zawarte w tomie „Tam gdzie rodziło się zwycięstwo", nie mówią więc o wielkim finale, który dokonał się wiosną 1945 roku w Berlinie. Ten finał na wszak bogatą literaturę. Reportaże te ukazują dzień dzisiejszy tych miejscowości, gdzie hitlerowski najazd został powstrzymany, gdzie kładziono fundamenty przyszłego zwycięstwa.

Książka ta — będąca plonem wyjazdu do ZSRR grupy dziennikarzy z prasy PAX — ukazuje miejscowości trwale wpisane w historię Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Mówi o wydarzeniach które się wówczas tam rozegrały oraz o dniu dzisiejszym.

„Tam gdzie rodziło się zwycięstwo", Wyd. PAX, cena 20 zł

OLIMPIADA W FILATELISTYCE

Cena tego albumu jest zawrotna: 300 złotych, ale też nie oprze się pokusie nikt, kto choć trochę interesuje się filatelistyką, „Polska kronika olimpijska w filatelistyce" — jest rarytasem i to zarówno graficznym, autorskim jak i poligraficznym. Piętnaście tysięcy egzemplarzy rozeszło się błyskawicznie mimo wysokiej ceny.

O czym jest ten album, nie można opowiedzieć — jest to po prostu klaser ze znaczkami: od pierwszych olimpijskich nalepek z roku 1921 po ostatni montrealski bloczek z 1976 roku. I dlatego tak ważna jest poligraficzna doskonałość tego albumu. Reprodukcje byle jakie przekreśliłyby cały sens publikacji, ale są tu reprodukcje niemal klasy oryginałów. Początkowo byłem przekonany, że wydawca — Krajowa Agencja Wydawnicza — poszukała sobie drukarni za granicą: w NRD lub Czechosłowacji.

A tu guzik prawda! Okazuje się, że potrafimy drukować na najwyższym poziomie także i u nas. Tym przyjemniej podać, że współtwórcą albumu są Łódzkie Zakłady Graficzne. Drukowano w warszawskich Zakładach Offsetowych, a fotografie wykonano w... Rudzie Śląskiej, w tamtejszych Zakładach Fotograficznych.

I wreszcie słowo o autorze. Jest nim znany filatelista i publicysta, Fabian Bura. W tematyce olimpijskiej właśnie on ma najwięcej do powiedzenia. W 1964 roku Fabian Bura zdobył dwa złote medale na wystawie olimpijskiej w Tokio. Cztery lata później na podobnej wystawie w Mexico — znów złoty medal i dyplom. Cztery lata później w Monaco — dwa złote medale. To olimpijskie złoto otrzymał Fabian Bura za zbiory znaczków olimpijskich świata, zbiory dokumentacji, zbiory literatury na temat filatelistyki olimpijskiej... Wiedział zatem KAW, do kogo się zwrócić o opracowanie albumu filatelistyki olimpijskiej.

Fabian Bura „Polska kronika olimpijska w filatelistyce", KAW, cena 300 zł

WARTO PRZECZYTAĆ

Leopold Lewin — „Trzy głosy", Czytelnik, cena zł 20.
Jarosław Marek Rymkiewicz — „Wybór wierszy", Czytelnik, cena zł 30.
Maciej Serwański — „Henryk III Walezy w Polsce". Stosunki polsko-francuskie w latach 1566-1575, WL, cena zł 40.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

ZDZIWIENIA

Zdumiewające, jak łatwo można wmówić każdą bzdurę bezkrytycznemu rozmówcy. Właśnie taką bzdurę wmówiono dziennikarce „Dziennika Popularnego".

Oto gazeta ta donosi: **„140 taksówek łódzkich zawsze do usług".**

Ciekawostka. Wydawało się nam, że „do usług" jest 1.600 (tysiąc sześćset) łódzkich taksówek, a nie tylko niecałych 10 procent. A o co w ogóle chodzi? Otóż Zrzeszenie Prywatnego Handlu i Usług ogłosiło konkurs dla taksówkarzy. Konkurs jest dobrowolny. Premiowana będzie (cytujemy „Dziennik"): **„Kultura obsługi, estetyka pojazdu, stan techniczny taksówki, znajomość przepisów porządkowych, przestrzeganie regulaminu zarobkowego..."**

Świat się kończy! Obowiązki wynikające z koncesji na prowadzenie taksówki stały się przedmiotem konkursu. Kto chce, może stanąć do konkursu na kulturę, solidność i przestrzeganie regulaminu — kto nie chce, może dać pasażerowi w zęby i zażądać podwójnej opłaty.

Ktoś tu upadł na głowę — niestety. Nagradzać się będzie normalną pracę, wypełnianie zwykłych obowiązków i przestrzeganie regulaminu. Chciałbym wiedzieć, kto tę bzdurę wymyślił. A już zupełnie osobną historią jest fakt, że do tego dziwnego konkursu przystąpiło zaledwie 10 procent łódzkich taksówkarzy. Z doświadczenia wiemy, że porządni, uczciwi i kulturalni taksówkarze stanowią w Łodzi większość i tych nie trzeba kokietować nagrodami. Natomiast pozostałych nie warto kupować nagrodami, bo nikt nie staje się kulturalny za forsę.

Coś się tu chyba organizatorom pomyliło.

Pomyliło się też coś młodzieżowej „brygadzie" pielęgniarek z pewnego łódzkiego szpitala. Otóż dzielne samarytanki podjęły zobowiązanie... troskliwie opiekować się chorymi.

Zastanawiam się czy nie powinienem podjąć zobowiązania, że będę pisał co tydzień felietony. Przecież i tak je piszę, więc co mi szkodzi?

Niedawno na biurku naczelnego „Karuzeli", Wojciecha Drygasa, zobaczyłem niewielką broszurkę, będącą instrukcją obsługi... taczki. Tak jest, zwykłej taczki. O ile się nie mylę, taczki znano już w średniowieczu, a wtedy ludzie raczej rzadko umieli czytać. Ciekawe, jak dali sobie radę z użytkowaniem tego pojazdu.

Instrukcja znalazła się tam, gdzie powinna — to znaczy w redakcji satyrycznego pisma. Wymyślono jednak tę bzdurę zupełnie poważnie. Bardzo bym chciał poznać człowieka, który napisał instrukcję obsługi taczki. Czy rozumiał cały irracjonalizm i nonsens takiej pracy? A może po prostu śmiał się w kułak, ale pisał, bo takie dostał polecenie dyrektora? Wszystko możliwe.

Chciałbym też poznać człowieka, który kiedyś napisał instrukcję obsługi... pługu konnego. Tak, tak — też kiedyś było coś podobnego. A już szczególnie marzę o poznaniu autora instrukcji... mycia zębów, uwidocznionej na tubce pasty.

Jestem przekonany, że ci wszyscy ludzie okazaliby się zupełnie normalni i — kto wie? — może nawet wcale by się nie chcieli przyznać do tego, że pisali takie instrukcje.

Tytuł felietonu brzmi: „Zdziwienia", ale jest to banalna, dziennikarska sztampa. Otóż te wszystkie spisane wyżej zdarzenia i osobliwości wcale, ale to wcale nie budzą mojego zdziwienia. Przeciwnie — uważam je za normalne.
Niestety.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CIĘŻKA ARTYLERIA I WRÓBEL

Tylko co pisałem o kombatanckich wspominkach i o tym, czy publikowanie takowych jest par excellence „żerowaniem na męczeństwie" i „rozmienianiem śmierci przyjaciół na wierszówki", bo tylko tak można było odebrać ogłoszone w „Kulturze" fragmenty listów czytelniczych. Tymczasem w następnym numerze „Kultury" ukazują się dalsze listy w tej sprawie, po przeczytaniu których napisałbym swój felieton trochę inaczej. Ale tylko trochę.

Okazało się mianowicie, że w kilku pismach równocześnie ukazał się ten sam, dosłownie ten sam artykuł, tego samego autora, o pierwszych chwilach Powstania Warszawskiego. Strach, z jaką zajadliwością atakują autorzy listów w „Kulturze" owego powstańca, a przecież nie mamy powodu w ciemno założyć, że wspominkarz podszywa się tylko pod powstańczy płaszcz. Jaki ładunek świętego oburzenia i odrazy wystrzelono z tego właśnie powodu, **że ten sam artykuł w kilku pismach,** kilka razy zapłacony! Nasilenie tej wręcz nienawiści zdumiewa i samo w sobie zasługiwałoby na chwilę psychoanalitycznej uwagi, ale wracajmy do sprawy.

Sprzedanie tego samego utworu kilku redakcjom nie podpada pod żaden paragraf, dopóki żadna redakcja nie zastrzeże sobie wyłączności, a także wtedy kiedy utwór napisano na zamówienie i wykorzystano. Ale jest to według naszych norm obyczajowych czyn nieetyczny, coś, czego czynić nie wypada, przy czym absolutnie bez znaczenia jest fakt, czy chodzi o wspomnienia powstańca, czy o humoreskę lub kryminał w odcinkach. Oczywiście, zarówno humoreski, jak i powieści w odcinkach powtarzają się nieraz w kilku pismach, a czasami nawet w tym samym i jakoś nikt przy tym szat nie rozdziera. Zarzucono panu Wiśniewskiemu, owemu kombatantowi, o którego cała batalia, postępek niepiękny — słusznie, zrobiono z tego niebywałe horrendum — niesłusznie, a generalizujące uwagi o „sprzedawaniu śmierci" i o „żerowaniu na męczeństwie" sformułowano w sposób, który zmusił mnie do zabrania głosu w felietonie „Kto się powinien wstydzić?"

A teraz, na marginesie sprawy. Bywają przecież utwory, o które redakcje usilnie zabiegają i proszą o prawo ich powtórnego druku i jeszcze raz i jeszcze. Ileż to razy i w ilu pismach czytaliśmy te same fragmetny wspomnień Wańkowicza lub kapitana Czechowicza; wspomnienia Marylin Monroe szły w dwóch tygodnikach jednocześnie, co najmniej tuzin pism drukowało pamiętniki hitlerowskiego ministra Speera. Za to również się płaciło, choć — sprawiedliwie przyznajmy — inicjatywa nie wychodziła od autorów.

Ale jest jeszcze jeden moment, który proszę uprzejmie wziąć pod uwagę: ktoś nie związany stałą współpracą z żadną redakcją, pisze rzecz, która jego zdaniem powinna zainteresować opinię publiczną, albo jest głosem w toczącej się publicznie polemice, albo wynikiem długich i żmudnych dociekań.

Ów ktoś posyła swój utwór do redakcji pisma, w którym dana sprawa — jak się wydaje — najlepiej by leżała. Redakcja nie odpowiada, be ani me. Żadna redakcja nigdy nie odpowiada. Jeżeli artykuł był okolicznościowy — okoliczność mija i cała robota autora na nic, boć przecież nie wypadało mu proponować utworu innym jeszcze redakcjom. Przez szereg lat zmarnowało mi się w ten sposób wiele artykułów, kosztujących bardzo wiele pracy, czasu, ambicji. Żeby choć istniał jakiś okres oczekiwania, po którym miałbym już znowu prawo dysponować swobodnie swą pracą. Ale nie — nawet na osobiste zapytanie po paru miesiącach, co dzieje się z taką a taką pracą, nikt w redakcji nie wie, o co chodzi, albo otrzymuje się odpowiedź: w teczce. Aż sprawa przedawnia się gruntownie i nic z niej nie zostaje, poza nieskazitelnym obliczem autora.

A czasem zdarza się, że po roku cierpliwości autor decyduje się wysłać utwór do innej redakcji, a nagle tamta pierwsza sięga do swej mitycznej teczki i rzecz ukazuje się w dwóch pismach.

A czasem...

Ale przykładów dość. Nie ciskajcie kamieniem za szybko, ani kamieniem za ciężkim. Zróbcie coś, żeby autor miał szansę na partnerski dialog z redakcją, a nie musiał czekać bezterminowo na jej wyrok. Nie wieszajcie psów na wszystkich harmonistach, jeżeli jeden zagrał nie do taktu.

ĆWIEK

KSIĄŻKA

LITERATURA W CIENIU SWASTYKI

Powiedzenie to, przypisywane często hitlerowskiemu ministrowi propagandy Josephowi Goebbelsowi, pochodzi z dramatu „Schlageter" Hannsa Johsta — czołowego, niemal modelowego pisarza III Rzeszy. I stanowi najlepsze chyba wprowadzenie w sprawy literatury niemieckiej lat 1933—1945.

Historyczno-literackiej syntezy tego okresu nie można stworzyć przy pomocy zwykle stosowanej metody. A to z kilku powodów. Wskutek wydarzeń społeczno-politycznych i bezpośredniej ingerencji aparatu państwowego w zjawiska literackie, twórczość lat 1933—1945 wyrwana została niejako z kontekstu całej niemieckiej tradycji literackiej. Stanowi fenomen tak swoisty, że trudno też porównywać ją z dorobkiem innych literatur europejskich tego samego czasu. Większość twórców, tych decydujących o rzeczywistej randze literatury niemieckiej, wyemigrowało, bądź zostało fizycznie unicestwionych. W konsekwencji na obszarze III Rzeszy powstawała literatura estetycznie drugo- czy nawet trzeciorzędna. Sytuacja owa narzuca badaczowi problemu określoną optykę: bardziej interesować go muszą rozmaite mechanizmy życia literackiego, związki literatury z różnymi instytucjami totalitarnej machiny państwowej niżli indywidualny wymiar pisarstwa (choć w zakresie tym Hubert Orłowski egzemplifikuje kilka postaw, zarówno faszystowskich — np. Hanns Johst, Heinrich Anacker, jak i opozycyjnych — np. Jochen Klepper, Carl von Ossietzky).

Nadrzędnym celem nazistowskiej polityki literackiej było sprowadzenie literatury do jednego tylko wymiaru — nadanie jej całkowicie pragmatycznych cech. Odtąd stanowić miała zręczne narzędzie w rękach władców III Rzeszy. W tym celu, na gruncie przygotowanym przez prawicowych pisarzy Republiki Weimarskiej, rozpoczęta została „literacka mobilizacja" faszyzmu poprzez kampanie w prasie, najrozmaitsze spotkania, dyskusje, bojowe akcje przeciwko „kulturowemu bolszewizmowi". Jedna z nich zwłaszcza wryła się w pamięć pokoleń: publiczne, symboliczne palenie książek pisarzy, uznanych za wrogich i szkodliwych dla „niemieckiego ducha". Kulminacyjny moment tej serii nastąpił 10 maja 1933 roku na placu Opery (dziś plac Augusta Bebla) w Berlinie. Była to ponura zapowiedź czystek i czarnych list.

Do całkowitego podporządkowania twórców nie wystarczyło to jednak. Powołano więc do życia Izbę Kultury Rzeszy (Reichskulturkammer), złożoną z sześciu „izb". Pisarze zrzeszeni zostali w Izbie Piśmiennictwa Rzeszy (Reichsschrifttumskammer). Tylko przynależność do tej organizacji dawała prawo uprawiania twórczości i — co nie mniej ważne — publikowania. W taki sposób nastąpiło ostateczne podporządkowanie pisarzy ministerstwu propagandy. Na życie literackie usiłowały jednakowoż wpływać i inne instytucje: NSDAP, SA, SS, HJ, gestapo. Z reguły poprzez ustalanie własnych list książek zakazanych i zalecanych. O rozmiarach owych akcji niech świadczy fakt, że w rok po dojściu Hitlera do władzy listy prohibitów, sporządzone przez dzieści różnych instytucji, zawierały łącznie grubo ponad cztery tysiące tytułów. Wyrazisty to objaw monstrualnej, administracyjno-policyjnej sytuacji literatury.

Niewielu — jak do tej pory — badaczy zajmowało się problematyką literatury w państwie Hitlera. W ich publikacjach występuje stosunkowo duża różnorodność terminologiczna. Orłowski, postępując tropem Güntera Hartunga, w precyzyjny sposób opowiada się za wprowadzeniem dwu funkcjonalnych kategorii: literatura faszystowska oraz literatura nazistowska. Pierwsza z nich określa, najogólniej biorąc, te utwory, które dopomogły w przygotowaniu i wprowadzeniu faszystowskiej dyktatury. Literatura nazistowska zaś to beletrystyka bezpośrednio powiązana z NSDAP, jej ideologią i politycznymi celami. Za takim rozróżnieniem przemawiają przede wszystkim odmienne mechanizmy psychospołeczne, leżące u podstaw obu typów literatury.

Jeden z rozdziałów nosi tytuł: „Kierunek: wojna". Zostały w nim poddane analizie rozmaite formy piśmiennictwa afirmującego wojnę, od utworów hurrapatriotycznych poprzez mity w rodzaju Langemarck aż po reportaże, wspomnienia, czy listy z frontu. Znalazł się tu i temat września 1939 roku, jako składowa część kampanii II wojny światowej. Inspirację dla pisarzy stanowiła między innymi podróż po podbitej Polsce. Efektem były publikacje w prasie codziennej i periodykach, a także odrębna książka „Dichter auf den Schlachtfeldern in Polen". Tę sprawdzoną inspekcję literacką zastosowano następnie w innych krajach.

Szczegółowa, niezwykle rzetelna analiza obszernego przecież materiału literackiego wykazuje, iż piśmiennictwo faszystowskie i nazistowskie stanowiło wcale skuteczny instrument organizowania wyobraźni zbiorowej. Nacjonalistyczna mitologia oraz słowa-klucze (a raczej słowa-rozkazy) dynamizowały emocje w określonym kierunku. Lingua Tertii Imperii — Język Trzeciej Rzeszy przywołany do analizy poezji dostarcza pewnych uzupełnień do spostrzeżeń wynikających z dokładnego przyjrzenia się literaturze.

Wśród badaczy niemieckich przyjęło się metaforyczne określenie postaw niemieckich intelektualistów, sprowadzone do trzech pisarskich symboli: Goethe, Hölderlin, Heine. Pierwszy zawarł pokój z panującymi siłami. Drugi orientował się na „własną błogosławioną wyspę", czyli — jak byśmy to dziś powiedzieli — udał się na emigrację wewnętrzną. Trzeci wreszcie był emigrantem zewnętrznym. Dwie ostatnie postawy stanowiły podstawowe formy opozycji literackiej w III Rzeszy. W łonie opozycji Orłowski wyodrębnia również lewicową literaturę antyfaszystowską (np. twórczość grupy Petersena czy ugrupowania Schulze-Boysen-Harnack).

Książka Orłowskiego imponuje rzeczowością. Uzupełniona została zresztą dokładnym kalendarium politycznym i literackich wydarzeń lat 1933—1945. Jest kroniką i interpretacją „literackiego przestępstwa". Wypełnia dotychczasową lukę w germanistycznych badaniach historyczno-literackich. Stanowi wydarzenie w naszym życiu umysłowym.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

H. Orłowski, Literatura w III Rzeszy, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1975, nakład 1750 + 250 egz., cena zł 80,—

magazyn

Książę Józef Poniatowski

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

O THORVALDSENIE, JEGO DZIEŁACH I SPUŚCIŹNIE

Tak. To już miały być ostatnie postuki mistrzowskiego dłuta i uderzenia młota. Dokładnie 150 lat temu, **Bertel Thorvaldsen** kończył pracę nad jednym z najpiękniejszych swoich dzieł pomnikowych — Statuą Jeźdźca — Księcia Józefa Poniatowskiego.

Oryginalny model pełni po dziś dzień — wraz z wcześniejszym o trzy lata Kopernikiem — „honorową wartę" w Kopenhadze u wejścia do **Muzeum Thorvaldsena,** będącego jednocześnie miejscem wiecznego spoczynku największego rzeźbiarza duńskiego i jednego z największych mistrzów europejskiego klasycyzmu.

Pod modelem tym napis — wart przypomnienia we wrześniu, miesiącu polskiego dramatu 1939 roku, a jednocześnie tradycyjnym Miesiącu Warszawy: „...odlew warszawski, 16 grudnia 1944 wysadzony został w powietrze przez Niemców (...) Nowy odlew w brązie, dokładnie według oryginalnego modelu muzealnego sporządzony, przez państwo duńskie i miasto Kopenhagę ofiarowany miastu Warszawie, wrócił do Łazienek 23 lutego 1952"...

Któż z Polaków i gości Warszawy, któż z Duńczyków i gości Kopenhagi nie zna naszego Księcia Józefa?! Nie wszyscy jednak pamiętają o burzliwych dziejach monumentu warszawskiego. Zamówiony był w roku 1817 przez polskich „napoleończyków" dla stolicy Królestwa Kongresowego, za zgodą ówczesnego liberalnego cara rosyjskiego i „króla polskiego", Aleksandra I — co potwierdzone zostało w Warszawie podczas pobytu Thorvaldsena w r. 1819, w drodze z Rzymu do skandynawskiej ojczyzny. Ostateczny kontrakt spisano w 1820. W pięć lat później na tron carski wstąpił jednak Mikołaj. Nastąpiły polskie i rosyjskie wrzenia powstaniowo-rewolucyjne. Mikołaj odraczał zezwolenie, a w roku 1832, kiedy jednak wreszcie miało nastąpić odsłonięcie — car, teraz już w jawnym odwecie za powstanie, zabronił kategorycznie, pomnik zaś przekazał w prywatnym upominku swemu krwawemu namiestnikowi w Warszawie, księciu — feldmarszałkowi Paskiewiczowi. Ten ustawić statuę, owszem, kazał — ale w majątku własnym Homel, w guberni Mohylewskiej. Na tym wygnaniu spędził Książę lat 90. Trzeba było bowiem dopiero władzy radzieckiej i osobistej woli Lenina, aby mógł wrócić tam, gdzie było jego miejsce. Kraj Rad zwrócił go Polsce w 1922 roku. 3 maja 1923 nastąpiło uroczyste odsłonięcie w Warszawie. Po 21 latach przestał istnieć, jak już wspomniano, wysadzony w powietrze przez okupantów hitlerowskich niemal w przededniu opuszczenia przez nich zburzonej Warszawy. Dzięki Duńczykom powstał z nicości na nowo i wreszcie na dobre zadomowił się w Warszawie przed 24 laty, tyle że z jedną jeszcze, jak wiadomo, „przeprowadzką" po drodze: z Łazienek przed oficjalną siedzibę Prezesa Rady Ministrów PRL...

Książę i Kopernik to bynajmniej nie wszystkie polonica kopenhaskiego Muzeum Thorvaldsena. Jest ich tam obecnie ponad 20, w tym 3/4 prac Thorvaldsena, nie licząc przeróżnych szkiców, modeli próbnych itp.

Jednym z najpiękniejszych dalszych Thorvaldsenowskich poloniców jest np. pomnik hr. Włodzimierza Potockiego (1821). Model oryginalny w kopenhaskim muzeum, w Polsce zaś — w katedrze na Wawelu również marmurowy, na grobowcu hrabiego. Samych Potockich uwiecznił Thorvaldsen w kamieniu, marmurze i brązie kilkoro... W ogóle lubił „polską tematykę", kojarzyła mu się bowiem ona zawsze ze „Znakami Wolności". 33 lata swego życia spędził wszakże w Rzymie, tu przeżywał wyzwoleńcze „kampanie włoskie" generała Bonapartego, poznał polskie Legiony, słyszał Mazurka. Stąd sympatie do Polaków, zainteresowanie Polską i jej dziejami, twórcze i czysto ludzkie emocjonowanie się tą tematyką i tyle charakterystycznej, ciepłej, właśnie bardzo duńskiej symboliki u mistrza surowego „rzymskiego klasycyzmu".

☆ ☆ ☆

Blisko 700 rzeźb Thorvaldsena znajduje się dziś w kopenhaskim muzeum jego imienia wśród tysięcy eksponatów zgromadzonych w 60 wielkich salach (są tu także prywatne zbiory mistrza i całe kolekcje wykonanych przez niego kopii rzeźb starożytnych, setki prac innych mistrzów dłuta i palety poświęcone Thorvaldsenowi, przebogate zbiory sztuki antycznej oraz znakomite kolekcje malarstwa szkoły włoskiej, holenderskiej, francuskiej, niemieckiej i duńskiej. I tu spotkamy niekiedy Polaków — jako twórców lub przynajmniej fundatorów dzieł do zbiorów muzeum...

W Anglii i we Włoszech, w Niemczech i Watykanie, w Polsce i w Rosji, we Francji, Danii i całej Skandynawii — znajdują się najprzeróżniejsze dzieła Thorvaldsena — od monumentów po rzeźbiarskie portrety, popiersia, reliefy, sarkofagi i nagrobki, od miniaturek po kolosalne „sceny zbiorowe" zaklęte w marmurze. Przepiękne i przeogromne w treści i formie, w bogactwie tematycznym dzieło. Wspaniała spuścizna. Nic więc dziwnego, że kto tylko „zahaczy" o Kopenhagę — pędzi do Muzeum Thorvaldsena niezależnie od tego, jak dalece bliski — lub bardzo daleki — jest na co dzień sztuce plastycznej.

Z okazji miłego sercom Polaków 150-lecia „narodzin" — z woli i wielkiego talentu duńskiego artysty — naszego Księcia Józefa — tych parę słów poświęcając Mistrzowi korzystamy z okazji, by przynajmniej w fotoreprodukcji zaprezentować naszym Czytelnikom choć kilka z jego dzieł, których nie możemy obejrzeć u siebie w Kraju. Jednocześnie z robotniczej Łodzi pozdrawiamy Kopenhagę w Miesiącu Warszawy. Także w imieniu Księcia!...

Amor i trzy Gracje

ANDRZEJ SROCZYŃSKI

RZEMYK

Czarne pudełko terkotało jak głupie. Wyciągnąłem rękę i podniosłem słuchawkę. Tak!

— No cześć, wyspałeś się?

— Oczywiście — powiedziało mi się z odrobiną zachwytu, poznając głos dziewczyny.

— Jak ci się pracuje?

— Normalnie.

— To świetnie, śliczna moja. Wyjdę o czwartej pod pracę. Dobra?

— Niech będzie — odpowiedziała.

Raptem nie miałem już nic więcej do powiedzenia.

— Całuję Cię i do zobaczenia.

Odłożyłem tubę na widełki. Zapaliłem papierosa. Spojrzałem w okno. Brrr, deszcz ze śniegiem na dworze. Miło pod kołdrą. Zamknąłem oczy i zobaczyłem tamtą zimę. Bez mieszkania i widoków na przyszłość. Cały majątek jaki miałem to kożuch, szczotka do zębów, radio tranzystorowe i piękna narzeczona — Joanna z dobrego domu i dużą przyszłością.

— Krezus bracie raczej nie byłeś — pomyślałem.

Ale wszystko się odmieniło. Narzeczoną w szybkich abcugach zamieniłem na nową, radio przepiłem. A ponieważ zaraz zbliżała się wiosna, więc kożuch sprzedałem. Robiono mi za to wymówki, ale skąd mogłem przypuszczać, że będzie jeszcze druga zima? Tak, że została mi się tylko szczoteczka do zębów. Ale gdzieś w połowie lata i ona się wytarła. Nie wyrzuciłem jej jednak. Ma taką ładną oprawkę w kolorze blue. Bo w ogóle lubię jasne kolory. A tu, psiakrew, moja — od tamtej zimy — dziewczyna jest ciemna. Co mnie niezmiernie dziwi. W myślach nazywam ją squaw. Przypomina mi Indiankę. Ma ciemne długie włosy. Ciemne, błyszczące oczy w których odbija się jej dusza i nastroje. Duże, wredne usta i małe konchy uszu. Postać ma mocną i silną. Więc patrząc w okno i widząc śnieg, zwijam namiot i strzelając z bata krzyczę: „— Squaw, zaprzęgaj psy, czas ruszać na szlak!" Musiałem jednak przerwać odjazd. Weszła gospodyni.

— Dzień dobry.

— Uszanowanie Pani — uśmiechnąłem się głupkowato do niej. No bo niby tak człowieka raptem wyrwać z serca Alaski do cywilizacji.

— Jutro pierwszy. Za pokój niech pan nie zapomni zapłacić.

— Oczywiście, kochana Pani. Nima sprawy.

— Herbaty się pan napije?

— Co by nie — odpowiedziałem.

— To niech pan wstanie.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Choryś pan?

— Nie — bez majtek jestem.

— Nago człowieku śpisz?!

— Tak lubię, zdrowo — odpowiedziałem.

— Ale nie uchodzi.

— Przecież nikt nie widzi.

— E, gadasz chłopie — kalesony muszą być. Trzech mężów miałam, to chyba wiem, co przystoi mężczyźnie.

— Ma Pani rację — przyznałem. No bo co tu gadać, one zawsze wszystko lepiej wiedzą. Choćby ta moja: — mając długie, proste włosy powinna nosić przepaskę ze skóry, jak Indiance przystało. Kiedy jej to powiedziałem i chciałem sprezentować piękny rzemyk powiedziała, że jestem prostak i zatrzymałem się w rozwoju. A ona (to znaczy squaw, jak ją w myślach nazywam) ma swoje lata i bredni słuchać nie będzie. Po czym, jak awansowała na kierownicze stanowisko, natychmiast obcięła sobie włosy i co tydzień chodzi do fryzjera. Próbuję jej wytłumaczyć, że dam jest dosyć na świecie. Ale nic nie pomaga. Wręcz pogorszyłem jeszcze sytuację:

— Spodnie byś sobie kupił. Chodzisz jak łapserdak. Wstyd mi. Więc, że mi zależy, zeźliłem się i kupiłem sobie garnitur i piękną wojskową kurtkę z masą różnych kieszeni, koloru khaki. Niedrogo nawet za nią dałem koleżce, czterysta złotych i jesionkę w kratkę. Wyszedłem do niej pod pracę dumny jak paw. Pewny, że w tej kurtce moja squaw (jak ją w myślach nazywam) dostrzeże we mnie prawdziwego westmana.

— Boże! — jęknała na mój widok. — Zdejmij to świństwo. Wyglądasz jak gajowy albo ostatnia rzęcha. Ja z tobą nie będę szła ulicą. Nie dość, że masz złą opinię, to jeszcze robisz z siebie idiotę.

— Kotku — tłumaczyłem — zobacz, kurtka jest piękna i tanio za nią dałem.

— Ile?

— Dwieście złotych — skłamałem.

— Natychmiast ją oddaj albo sprzedaj. Nie mogę patrzeć na tę obrzydliwość.

I w tym momencie owinąłem włosy swojej squaw (jak ją w myślach nazywam) na rękę i batem na psy strzeliłem w tyłek. Oczywiście oczyma wyobraźni. Rzeczywistość była krótko ostrzyżona, elegancka i z niesmakiem patrzyła na mnie.

— Dobrze, kotku. Sprzedam kurtkę i kupię przyzwoity płaszcz — powiedziałem pokornie, i bat na psy wyleciał mi z dłoni, a tyłek miałem już tylko ochotę pogłaskać.

— No co? Jeszcze pan nie wstał? — gospodyni postawiła kubek herbaty na stoliku.

— Już wstaję — powiedziałem i spod kołdry palcami nóg usiłowałem ściągnąć majteczki z poręczy krzesła. Wreszcie mi się udało. Chociaż od tej gimnastyki złapał mnie kurcz w łydkę. Wyskoczyłem spod kołdry.

— Pani siędnie — poprosiłem gospodynię.

Usiadła na brzegu krzesła.

— Ej, kawalerze, coś marnie wyglądasz.

— Ja? Czemu?

— Bladyś, ręce ci się trzęsą, aż mi żal. Galantyś chłopak. Ożeniłbyś się, albo co?

— Co też Pani mówi! Bladym, bo w nocy zwracałem, ręce mi się trzęsą, bo spiłem się wczoraj jak dzik.

— To czemu tak pić?

— Bo mi smutno.

— A właśnie! Potrzebna kobita — znaczy się żona. Mój pierwszy mąż też był taki. Zgrabny, bestia, ładny, tyle że pił. I robić nic nie chciał. Ale jak się ożenił, to i się odmienił — zamyśliła się przez chwilę, potem uśmiechnęła i powiedziała — Sukinsyn dalej cholernik pił, robić to już zupełnie nic nie chciał, a jeszcze za kobitami latać zaczął.

— A widzi Pani!

— Nic, nic, zaraz prawie umarł. I zostałem wdową. Niedługo zresztą, bo absztyfikantów było do cholery i ciut ciut. Co pan zresztą chcesz — sklep miałam kolonialny, pierwszy na ulicy, a ja kobita jak łania.

— To jasne, pani gospodyni, jeszcze teraz jest pani na medal.

— Już nie to. Latka, kawalerze, latka. Drugiego chłopa za to miałam cud. Nie przymierzając beczka miodu! Rzeźnik. Czarny jak Cygan. Łeb kręcony jak baran, wąsy angielki, jak się zdenerwował i uderzył pięścią w kontuar, to się dziura zrobiła. A lada była, panie, blachą obita. Zaraz pokażę zdjęcie.

Przyniosła ze swojego pokoju ślubną fotografię.

— Jezu, rzeczywiście byk — powiedziałem z przekonaniem.

— Szwaby go wykończyły na gestapo. Mięsem handlował. Westchnęła. A ja zacząłem myć zęby.

— O trzecim, tym już po wojnie, Józiku, powiem panu przy okazji. Muszę iść po zakupy. Ale radzę się szybko żenić.

— Dobra jest — uśmiechnąłem się do lustra. Skończyłem wreszcie toaletę. Wypiłem prawie zimną herbatę. I wyszedłem do miasta.

Śnieg z deszczem zacinał w oczy. Mnie jednak było wesoło, zawsze lubię być umówiony ze swoją squaw (jak ją w myślach nazywam). A że czasu miałem jeszcze sporo, szedłem pieszo, myśląc sobie, że warto pewnie kupić kapotę i w ogóle być eleganckim. Pewnikiem zacząłbym się jej podobać. Chociaż to świństwo i ironia losu, żeby ktoś, kto jest Indianinem od środka, zachowywał się jak blada twarz z dobrego domu. Jednak, biorąc rzecz głębiej, to taki człowiek może sobie nie zdawać sprawy z tego, kim jest naprawdę. Tak długo, póki Wielki Manitou nie wskaże mu właściwej i prawdziwej drogi. A wtedy — psy, bat — i na trasę.

— Jak leziesz, ciemnoto!

Aż dech mi zaparło. Wszedłem na faceta z gębą jak dynia — wielką i świecącą.

— Przepraszam — bąknąłem.

— Nie przepraszaj, tylko patrz przed siebie, ślepoku.

Krew we mnie zawrzała i już miałem ochotę dać mu w kły. Ale zobaczyłem milicjanta, więc poszedłem dalej. Pozałatwiałem kilka spraw. I już prawie była pora wyjść pod pracę po swoją squaw (jak ją w myślach nazywam). Czekałem dziesięć minut nim ją zobaczyłem.

— Cześć.

— Cześć — odpowiedziała. — Coś robił?

— Wiele rzeczy — odpowiedziałem. Nie przyznając się jednak do tego, że prawie cały dzień byłem z nią na Alasce.

POWIĘKSZENIA

Fachowiec

Stylista, red. (S.) z „Expressu Ilustrowanego" pisze o ośrodku mody młodzieżowej: **„Projekty ubiorów w krótkich seriach opracują fachowcy, a wykonają je spółdzielnie i zakłady odzieżowe specjalizujące się w tej branży".**

Zwracamy uprzejmie uwagę, że ubrania projektują zazwyczaj fachowcy a wykonują je nie zakłady metalowe przecież lecz odzieżowe. Fachowiec (S.) powinien o tym wiedzieć i nie uprawiać pustego ple-ple.

Ze sportu

Komentarze pracy łódzkiej po przegranym meczu piłkarskim ŁKS: **„ŁKS nie zasłużył na porażkę..."**

Nasz komentarz: Jeśli przegrał, to znaczy, że zasłużył.

Na temat kibiców „Express" pisze: **„po zakończeniu meczu zaczęli rzucać w kierunku boiska różnego rodzaju przedmioty. Dziwi nas, że pozostali kibice (...) nie przerwali w porę tych chuligańskich wybryków".**

Nasz komentarz: Różnego rodzaju przedmioty to były głównie butelki — puste oczywiście. Dziwi nas, że sprawozdawca każe kibicom zajmować się służbą porządkową, nic nie pisząc o tych, którzy o porządek powinni dbać z funkcji i urzędu.

Publicystyka cytatologiczna

W **„Życiu Pabianic"** ukazał się artykuł pt. **„Film o sieradzkim artyście ludowym"**, podpisany (sylw.). Czytamy, tam całe zdania o sztuce ludowej jakoś nam znajome. Nic dziwnego, bo są to zdania z artykułu **Elżbiety Delidy** wydrukowanego w folderze o folklorze województwa sieradzkiego.

Wiadomo, że dziennikarz nie musi i nie może znać się na wszystkim. Wiadomo, że dziennikarz korzysta często z materiałów opracowanych przez specjalistów określonych dziedzin. Warto jednak zaznaczać, skąd się bierze opinie, informacje i oceny. Po prostu — takie są obyczaje i nie należy tworzyć nowych — zwłaszcza gorszych.

Razem i dowcipnie

Nowy tygodnik **„Razem"** ma wszelkie szanse, żeby często gościć w rubryce „Powiększeń". Na początek próbka przedniego humoru ze strony 44: **„Kłusownik pocałował z dubeltówki leśniczego (...) Karol Młot ożenił się z Blandyną Kowadło"...** Poza tym stare dowcipy w rodzaju „zwis czteroramienny" (żyrandol) czy „wsuwki męskie" (pantofle), określenia, które zostały już dawno wykpione przez wszystkie gazety w Polsce.

Dowiadujemy się jeszcze, że czworo redaktorów „Razem" poszło razem na obiad i czekali długo, a potem podano im twarde ziemniaki.

W stopce redakcyjnej tygodnika naliczyliśmy trzydziestu czterech redaktorów. Przydałby się dla równego rachunku jeszcze jeden: specjalista od dowcipów.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1862. R-9. Nr indeksu 26762.